



## PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIEĆ.

### Prenumerata w Warszawie:

W wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych  
za cenę: rocznie rsr 7 kop. 20; półrocznie rsr 3 kop. 60;  
kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

### Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr 5. rocznie rsr 10

Wydawca MICHAŁ GŁOCKSBERG.

EXPEDYTOR GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWOCY

Ulica Królewska Nr 5.

W Cesarstwie Austriackim we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta  
kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80  
W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartał. flor. 2 cent. 75; na pro-  
wincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent 50

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebnera i Spół., kwartał. tal. pr. 1  
sgr. 20

## JOANNA NEYBAUROWA

(matka sierot).

Matka sierot! Piękniejszego, szlachetniejszego tytułu w życiu kobiety spokojnej znaleźć nie można. Kiedy matka własnemu dzieciom troskliwą staranność daje, już jej to poczytują za zasługę i przymiot dobry, choć tu stawa do pomocy miłość macierzyńska, która trudy w rozkosz zamienia. Lecz dzieci obce, ubogie, proste, więc nie udelikatnione przez wychowanie, które w części znacznej dawała ulica—nie pieszczotliwe aniołki, z którymi bawić się miło, ale często krnąbrne, twarde, posępne—taką tkliwością uczucia, taką dbałością o ich dobro otoczyć, aby im się stać matką: to już cnota wysoka, świętości bliska. Tak święcie cnotliwą jest szanowna matrona, dobrze miastu naszemu znana, pani Joanna z Kazimierusów Neybaurowa, która właśnie czterdziestopięciolecie swoich filantropijnych prac obecnie święci. w połączeniu z tym faktem, że w bieżącym roku (d. 1 Października) przypada czas oddania na korzyść tych jej umiłowanych dzieci biednych dar znaczny: kamienica (róg Placu Wareckiego i ulicy Szpitalnej), z jej woli i z ostatniej woli jej nieżyjącego już męża, Stefana Neybaura, na ten cel aktem regentalnym zapisana.

I w tem już jest objaw niepospo-



JOANNA NEYBAUROWA.

litego uczucia ofiarności, że ów dar dobroczynny jeszcze za jej życia uczynionym zostaje. Większość ludzi nie chce, nie może z własnością swoją do ostatniej godziny się rozstać; nieraz przez egoizm posiadania zaciskają się kurczowo krzepnące już ręce, aby do ostatniej możliwej chwili z nich nie puścić, nie oddać nikomu mienia swego. Ale tu znalazła się i ofiarna siła zrzeczenia, bo miłość ludzkości, chrześcijańskie braterstwa ludzkiego uczucie, istniało w tem pięknie sercu kobiety, wyniesione ponad samolubne natury instynkt. Życie tak zacnej niewiasty musi być niewątpliwie pełnem zajmujących czynów cnoty dobroczynnej, pojedynczych rysów szlachetnego miłosierdzia i ofiary; ale taki stan ducha, takie wyższe tkliwe uczucia podniesienie wyłącza zawsze pragnienie popisu i próżności, która na efekt i dla rozgłosu działa; więc też szersza publiczność nie zna nic z wieńca kwiatów cnoty, zdobiącej piękne to istnienie i tylko to, co było już jawnym czynem jej działalności społecznej i faktami głównymi w historii jej życia, stało się ogółowi wiadomem. Urodzona dnia 30 Marca 1802 r. w tej sferze miejskiej, która u nas aż do ostatnich czasów była skromną, poważną i skrzętnie pracowitą, niechęcią jasnie; zbytkiem, wystawnością; córka zamożnego ojca, piwowara, nauki, w zwykłym wtedy zakresie edukacji kobiecej, skończyła w wyższym pensjonacie Barchwicej, co przypada na czternaśty rok jej życia (1816 roku). Matka, Katarzyna ze Skobłów, pochodząca z rodziny zamożnej w naukach i za-



służonej krajowi, wywierać musiała na córkę, intelligentną z natury, wpływ najlepszy aż do dwiętnastego roku jej życia. W 1821 roku młoda panna wychodzi z domu rodziców, idzie za mąż za bardzo zacnego, ogólnym szacunkiem cieszącego się człowieka, Stefana Neybaur, jubilera, a wszystko w tem małżeństwie było harmonią, zgodą dobrą warunków, jakie się składać powinny na szczęście węzłem dożgonnym złączonej ze sobą pary ludzi. Stefan Neybaur, także z dawnej patrycyuszowskiej rodziny warszawskiej, urodził się 1788 r.: więc w chwili zawarcia małżeństwa znajdował się w najpiękniejszym rozkwicie męskości, liczył lat trzydzieści trzy, zatem i wiek był tak, jak wszystko inne, dobrze między tem dwojgiem dobrany. Nic nie zdawało się brakować im, nie; przecież wykazał się z czasem brak i bardzo wielki, zwłaszcza w życiu kobiety: Bóg nie zesłał dzieciny, któraby rozweselała lata młodsze, dodając małżeństwu pożytku wdzięku i słodyczy, a zarazem stając się nadzieją i pociechą późniejszych lat życia.

W takich warunkach serce kobiety, zwłaszcza uczuciowej, żyjącej sercem w domu, w rodzinie, nie w świecie salonów, strojów i zabawy, musi doznawać uczucia pewnej próżni, pewnej czczości, jeżeli tylko nie jest naturą zdolną podnieść się nad przeciwności życia i szukać sobie dla niedostatku swego wynagrodzeń wyższych, niżeli uczucie jednostkowego przywiązania. Ona umiała sobie tak radzić—umiała sobie wybrać tę część *lepszą*, która przez nie i nikogo już jej odjętą być nie miała; i oto kobieta bezdzietna staje się szlachetną filantropką. Serce jej adoptuje sieroty, dzieci opuszczone, dzieci ubogiego ludu, którym pracująca na chleb matka nie może dać tej tkliwej i skutecznej opieki, jaką się cieszy dziecko, szczęśliwiej pod względem materialnych środków uposażonej kobiety. Wprawdzie była to epoka uczuciowego pocucia się społeczeństwa naszego do obywatelskiego i chrześcijańskiego w tym kierunku obowiązku klas wyższych dla klas niższych, ale przez każdą epokę wieją prądy jakichś szlachetnych interesów, każda epoka istnienia ludzkości płodną jest w jakąś myśl wyższą, która się wcielania domaga, nie chwytając jej przecież wszyscy—ci nawet, dla których byłoby to wybawianiem ducha z nędzy istnienia bez celu. I wtedy też nie było to rzeczą ani pospolitą, ani zwyczajną, aby kobieta, której życie było niepełnem, serce smętnem, zapragnęła uweselić je sobie świętem weselem poświęcenia i ofiarniczej miłości bliźniego. Neybaurowa posiadała przecież to wysokie przymioty serca i umysłu, których potrzeba, aby tak być mogło: i oto osobistość jej występuje naprzód szlachetnie, nazwisko zapisuje się na kartach dobroczynności miasta naszego w sprawie razem chrześcijańskiego miłosierdzia, i sprawiedliwości społecznej. Przypada to na rok 1841. Zaczęj pamięci lekarz, Dr Janikowski i przez całe miasto nasze, przez całą Warszawę ukochany, Stanisław Jachowicz, wcielił na dobroć i miłość bliźniego, podnosząc myśl czeskiego filantropa Swobody, zaczynają się krzątać w roku 1839 koło zakładania dla dzieci ubogich przytułków wychowawczych, ochron. Pietrusiński, prawnik, urzędnik Prokuratury, przyjaciel Jachowicza i z tych samych co on stron, z Galicyi, rodem; Zubelewicz, professor gimnazjalny; zacny kapłan ks. Wyszyński; astronom Baranowski, a za ich przykładem wielu innych sercem tkliwszych, uczuciem obywatelskiem silniej przejętych ludzi, brało współudział w tej pracy dobroczynnej. Zbór Gminy Ewangelicko-Augsburskiego wyznania zakłada też wśród tego ogólnego ruchu Instytut Sierot, chłopców i dziewcząt, a zostająca jego opiekunką p. Joanna Neybaurowa raz pierwszy występuje w dobroczynnej swej działalności na jawność publiczną. Wkrótce potem kosztem swoim i staraniem dopełnia drugiego czynu miłości bliźniego: zakłada przy tym samym zborze ochronę dla ubogich dzieci augsbursko-ewangelickiego wyznania, gdzie opieka jej nie jest wcale nominalną, ale rzeczywistą, osobiście wykonywaną pracą zajęcia się dziećmi i gospodarstwem zakładu.

Była już teraz w dojrzałych lat pełni, dobie-

gała lat czterdziestu; ale takie skierowanie życia nie przychodzi nigdy nagle, pod dorywczym wpływem natchnienia i Zbór Gminy Ewangelickiej wzywając ją na opiekunkę wzniesionego przez siebie zakładu, musiał już znać cnotę jej dobroczynności, musiał wiedzieć o złożonych w jej sercu zasobach działającego tu uczucia, które już dało znać o sobie. Cnoty te rozwinąć się musiały dawniej, a rozwinąć się było im łatwo, bo mąż pełnił je na swoje rękę i dawał żonie przykład z siebie. W r. 1834 Rada Opiekuńcza domu Przytułku i Pracy wystosowała do niego podziękowanie nie za samą ofiarność, ale i za trud pocziwy w zbieraniu składek na cel nie dopuszczenia żebractwa ulicznego. Był przytem od lat dawnych czynnym członkiem Warszawskiego Towarzystwa Dobroczynności, pełnił wiele honorowych obowiązków municypalnych, należał do Bractwa Miłosierdzia S-go Rocha, istniejącego przy kościele S-go Krzyża, należał do wielu takich bractw innych przez które miejski stan naszego miasta wiązał się wtedy do czynów braterstwa i miłosierdzia. On był katolik, i bardzo gorliwy, bardzo pobożny katolik; ona — protestantka; ale jak ta różnica wyznań nie przeszkodziła im niegdyś uczuć dla siebie miłości, tak teraz nie utrudniała im szlachetnej cnoty miłosierdzia i dobroczynnej ofiarności. Łączyła ich zasadnicza treść rzeczy, jądro jej—uczucie religijności i miłość ludzi! Oboje podnosili wzrok ku niebu, szukając tam najwyższego ideału — Boga!... oboje pełnili na ziemi obowiązki zanie pojętego człowieczeństwa. Wierzyli, kochali, mieli w sercach zasób wyższych, niż używanie chwili bieżącej, pragnień i nadziei i oboje razem tworzą piękny obraz pary małżeńskiej, związanej ze sobą nie przez same, do osobistego szczęścia zacieśnione cele. Bezdzietni są, ale zostawiają mające po nich żyć czyny uczciwe, i czyny te będą ich potomstwem.

On umiera; ona, wdowa chrześcijańska, idzie dalej drogą, którą niegdyś dążyli razem, i tylko coraz to wyższą skarbi sobie zasługę, coraz wyżej wstępuje w godności uznania ludzkiego: otrzymuje od Warszawskiego Towarzystwa Dobroczynności zaszczytny tytuł *Protektorki Ochron*, a potem świętszy, słodszy, wzruszający mimowolnie serce każdego, kto go usłyszy: tytuł *Matki Sierot*.

Dobroczynność jej nie umiała się nigdy zamykać w obrębie jednej instytucji, i lista jej ofiar różnych jest też długą, a wzruszającą dla każdego, kto odszuka w nich sobie pobudki działającego tu uczucia. Dostaje jej dar dobroczynny Przytułek Sierot, przy ulicy Czerniakowskiej, dostaje go Zakład Nauki Szycia w gmachu po-Dominikańskim; jej groszem odnawia się świątynia nie jej wyznania — świątynia katolicka: kościółek Towarzystwa Dobroczynności na Krakowskim Przedmieściu. Tkliwość serca kobiecego działa w tym czynie filantropki: tam gdzie ubóstwo, starość nieszczęśliwa szuka ostatniej pociechy, modli się—tam nie powinno być śladów opuszczenia, pocerniałych murów, ściemniałych obrazów. Współczująca jej dobroć dała też sędziwej rzeszy, która tu przychodzi podnieść wzrok do góry, dała słodkie wrażenie, jakie tylko już w Domu Bożym spotkać ją może. Nasza historia filantropii z czasów ostatnich chlubić się musi dwiema szlachetnie pięknymi postaciami czcigodnych niewiast; nazwiska Tekli Rapackiej i Joanny Neybaurowej zapisały się niezapomnianie w jej kronikach.

Marya Ilnicka.

## ŚWIAT DUCHA.

Bez granic wielką jest kraina ducha,  
Promienna bóstwa blaskiem u swych szczytów,  
A w dole—otchłań mroku, łkań i zgrzytów,

Zkąd rozpacz i nienawiść wciąż wybucha!  
Kto w głosy jej się tajemnicze wsłucha,  
Ten dozna już-to grozy, już zachwytów,  
Nieznanych tym, co w prochu zasklepieni,  
Dla których Byt — to puszcza światów głucha,  
A oni sami — poczet marnych cieni.

Rojenia młodych lat, natchnienia błyski.  
Ofiarność, wiara wrząca czar miłości:  
Czyż nie jest to świat wrażeń, niebios blizki—  
Słoneczny, wiosną tchnący raj ludzkości?!  
Czy nad wspaniałe tęcz i gwiazd widoki,  
Lub biegunowej zorzy ogniotryski,  
Nie wyższy umysł twórczy i głęboki?  
Cóż mówić o tej najszczytniejszej cnotcie,  
Dla której wzór zajaśniał na Golgocie!

A oneż wulkaniczne serc otchłanie,  
Gdzie wiecznie płonie brudnych żądź pochodnia,  
Gdzie lęgnie się występek, zdrada, zbrodnia—  
Czy może iść co z niemi w porównanie  
W ohydzie okropności? Krwią i łzami,  
Jak lawą, broczą one ludów dzieje;  
Podziemny grzmot ich postrach w ciżbach sieje..  
Żaloba, rozpacz, idą ich śladami,  
A potem cisza spustoszenia głucha...  
O! straszne, straszne są przepaście Ducha.

Zaprawdę, owa martwych brył gromada,  
Co świat bezwiednej materji składa,  
Choć także nie ma liczby ani granic,  
Lecz w każdej chwili niknie i przepada—  
Wszechmocny kruszy je co chwila na nic —  
I czemże jest ów świat w obliczu Ducha,  
Co tylko sam posiada  
I twórczą myśl, i samodzielność,  
I czynu moc, i nieśmiertelność.  
Co światem włada?!

L. Sowiński.

## POGA WĘDKA.

Bez wszelkich preludjów wiosna na swej czarodziejskiej ligawce zagrała najpiękniejszą piosenkę, budząc całą naturę uspiąną z zimowego snu, a Kwiecień, wbrew swojej tradycji, która go zrobiła kapryśnym u nas bałamutem i wzorem niestałości, okazał się w tym roku jednym z najprzyjemniejszych zwiastunów tej dziwnej bogini, co w złotych blaskach słońca, z lawiną kwiatów i motyli, z pieśnią skrzydlatych chórów spada po-błogosławić ziemię i ludzkie dusze nadzieją....

Chciałoby się stanąć wśród zieleniących łąk, podnieść ręce, jak skrzydła w górę, zaczerpnąć pełne piersi świeżego powietrza i wołać: „Bywaj śliczna wioseczko, bywaj!... czekaliśmy cię z u-pragnieniem i tęsknotą!”

Smutno musi być: umierać na wiosnę, kiedy wszystko nowem życiem tchnie i do życia się uśmiecha, nową siłą się krzepi i powstaje odrodzone, odświeżone!

Starożytni mieli myśl o Anteuszu, który, ile razy dotknął ziemi, tyle razy siły mu przybywało. Ziemia jest takim Anteuszem względem słońca: ilekroć jego promienie jej dotkną i im dłużej ją pieszczą, tem więcej krasy, wdzięków, potęgi jej przybywa.



Początek wiosny mamy tedy nad wyraz piękny, byle tylko potrwało tak do końca.

Nie brakło też i cieplejszych trochę promyków dla serc naszych; jednym z nich była wiadomość o pomyślniejszym pokierowaniu całej zachwianej i narażonej już sprawy pomnikowej w Krakowie, po niefortunnym wyroku konkursowym. W dniu 16 b. m. odbyło się tam ogólne zebranie komitetu, na którym niespodziewanie wszystko jakiś lepszy obrót wzięło i złe wrażenie konkursu zatarło się prawie całkowicie. Oto uproszony przez marszałka Zyblikiewicza, mistrz i księżę sztuki polskiej, Matejko, wygotował trzeci z kolei szkic rysunkowy na pomnik Mickiewicza, w którym genialny artysta rzucił tylko myśl we wspaniałym zarysie, mającą posłużyć za motyw do pomnika.

Mielśmy sposobność oglądać ów projekt i pojmujemy uznanie, z jakim członkowie komitetu przyjęli go za podstawę dalszego działania. Nie jest to ostateczna forma, skończona, pełna w sobie i szczegółowo opracowana, ale dopiero wskazówka, pomysł, poddany ton do nastroju, który jakiś rzeczywisty talent rzeźbiarski pochwyli, uzupełni i w dzieło natchnione ukształtuje.

Wobec projektu Matejki, który w pomysle samym i wsłukowem wykonaniu posiada więcej cech geniuszu, poezji i natchnienia, aniżeli — wyznajmy szczerze — wszystkie razem starannie wykonane modele gipsowe ostatniego konkursu, komitet dał się łatwo nakłonić do przyjęcia zasadniczego wniosku hr. Art. Potockiego i postanowił odsunąć od dyskusji i praw wykonania wszystkie trzy nagrodzone projekta pp. Dykasa, Celińskiego i Barącz, a przyjmując natomiast projekt Matejki za podstawę dalszego działania, obmyślenie zaś sposobu wykonania tego projektu, lub innego, osnutego na podobnym motywie, porucił wybranej *ad hoc* komisji, złożonej z sześciu członków, pod przewodnictwem Matejki i pod bardzo słusznym zastrzeżeniem ratyfikacji pełnego komitetu.

Do wspomnianej komisji weszli: marszałek Zyblikiewicz, prezydent miasta Krakowa Dr. Szlachetowski, hr. Artur Potocki, znany architekt i restaurator Sukiennic p. Tomasz Pryliński, prof. Dr. Maryan Sokołowski i hr. Konstanty Przezdziecki z Warszawy.

Matejko, na uczenie wydanej dla gości warszawskich, zastrzegł wyraźnie, że liczy głównie na pomoc i dobrą wolę rzeźbiarzy polskich, którym poświęcił toast, i którzy tylko wspólnymi siłami mogą przyczynić się do wykonania dzieła. Inicytywa wprawdzie wyszła od mistrza malarstwa polskiego, ale myśl jego wcieli się może jedynie pod zaklęciem dłuta w marmurze, a ku temu potrzebne będą jeszcze rozmaite warunki techniczne i inne, które wspólnie zbadać i rozebrać mają dodani Matejce do rady i pomocy członkowie komitetu.

Najwłaściwiej-by było rozpisnąć jeszcze jeden konkurs na dany i określony temat według rysunku mistrza, a do konkursu tego powołać-by można nagrodzonych i odznaczonych na ostatnim konkursie artystów rzeźbiarzy.

Niebawem dowiemy się, jakie w tej mierze zapadną uchwały wybranej komisji, a dobrzeby było, aby zbyt pochopna do przedwczesnych sądów krytyka wstrzymała się ze swemi uwagami, nie psując sprawy w samym zawiązku i nie zniechęcając tych, którzy z nową energią i nową wiarą wzięli się do dzieła, wystawionego na ostatnią próbę.

Drugiego Matejki nie mamy, któryby swoim geniuszem wybawić nas mógł i chciał z kłopotu, jeżeli pierwszy i jedyny opuści ręce i pozostawi rzecz całą na wolę losów, jak się okazało, nie zbyt łaskawych dla tego całego przedsięwzięcia. Kto wie, czy nie trzeba będzie, na wypadek ponownego zawodu, posłuchać rad Jeża i sprawę uczczenia największego wieszca narodowego odsunąć na jakie ćwierć wieku, przekazując ją przyszłemu pokoleniu, które może będzie dojrzałe i w szczególniejszych warunkach rozwinie sztukę plastyczną w kraju.

Miejmy nadzieję, że do takiej ostateczności nie przyjdzie.

W Czerweu podobno, podczas wystawy prze-

mysłowo-rolniczej, zapowiadającej się coraz świeżiej, projektowaną jest wystawa modeli konkursowych w Warszawie. Byłaby to najlepsza sposobność objaśnienia opinii publicznej i krytyki o ostatnim konkursie i o rezultatach, na jakie się rzeźba nasza zdobyła i na co w najlepszym razie sama zdobyć-by się mogła.

Wspominaliśmy ostatni raz o prawdziwej wystawo-manii, która ogarnęła Warszawę w roku bieżącym; do listy projektów w tym rodzaju przybył jeszcze jeden więcej. Oto dawni kolledzy, przyjaciele i towarzysze pracy zmarłego Henryka Redlicha, znakomitego sztycharza polskiego, postanowili urządzić, na wzór Lwowa, wystawę wszystkich utworów jego rylca w połączeniu z wystawą szkiców malarskich i cenniejszych portretów, jakie się w Warszawie znajdują.

Dochód przeznaczony ma być na wspomnienie rodziny pozostałej po nieboszczyku, która wawrzynowemi liśćmi z pozostałego po nim wieńca sławy żyć nie może, a u nas, niestety, bywa to jedyną spuścizną dla wdowy i sierot ludzi, zasłużonych na polu sztuki lub literatury...

Wystawa piękności warszawskich i wystawa dzieci, nawet z pedagogicznym celem, zesła z porządku dziennego; ale natomiast *Tygodnik Powszechny* wystąpił z rysowniczym konkursem, przeznaczając dla naszych ilustratorów dwie nagrody w kwocie 100 i 75 rs. za najlepszy i najpiękniejszy „typ polskiej dziewczyny”.

Czytelniczki nasze uśmiechać się gdzieś muszą na tę wiadomość, bo któż, jeżeli nie one, posłużą artystom, ubiegającym się o nagrodę, za główny motyw natchnienia do pracy i studyów w natury? Sława „pięknych Polek” nie od wczoraj się rozchodzi po świecie; ale przyznajmy się otwarcie że w sztuce naszej typowo nie odznaczyły się dotychczas te idealne niemal postacie „aniołów ziemni”, jak je jeden z poetów niemieckich nazywał.

Najwięcej wdzięku, wyrazu, charakterystyki umiał jeszcze polskim kobiecym typom nadawać ołówek Grottgera; po nim mało kto zdobył się na kreacye w tym rodzaju wybitne.

Inicytywa *Tygodnika Powszechnego* może zatem zaznaczyć się szczęśliwie na kartach współczesnego ilustratorstwa i przysporzyć nam całą galeryę tych wdzięcznych, oryginalnych i charakterystycznych główek dziewczyczych, których najpiękniejszy typ wcieliła poezja w „Zosię” Mickiewicza, a na którego plastyczne odtworzenie w sztuce napróżnośmy dotąd wyczekiwali.

Temat i termin konkursu zeszedł się z poetyczną wiosną, która podnieść powinna skalę natchnień naszych artystów, tylko, że pora wiosenna w Warszawie, jak i wszędzie zresztą, nieprzychylnie wpływa na interessa sztuki.

W teatrach coraz większy upał i coraz mniej publiczności; na koncerta tylko taki genialny pianista, jak Rubinstein ściga tłumy, inaczej konkurencja z pogodą byłaby niemożliwą.

Co prawda „król fortepianu” mógłby dawać koncert w hutniczym piecu, a jeszcze prawdziwi melomani pośpieszyliby go słuchać i rozkoszować się tą grą, której dziś nikt chyba nie dorówna pod względem techniki, poezji, natchnienia i potęgi.

Zeszłej niedzieli koncertował na dochód Instytutu Muzycznego w zapelnionych Salach Redutowych i zachwycał słuchaczy utworami Schumann, Szopena, Schuberta i własnymi.

Po takiej uczcie muzykalna Warszawa długo będzie musiała... pościć, bo drugiego Rubinsteina nie rychło jej losy sprowadzą; Instytut Muzyczny oprócz materialnego zasilku odniósł i korzyść moralną w poparciu i uznaniu jednego z największych muzyków dzisiejszych, który chętnie pośpieszył złożyć mu ofiarę swego talentu, stwierdzając tem racją bytu instytucji, zaczepianej przez niechętnych lub niezyczliwych.

Na brak artystycznych wrażeń nie mamy powodu skarżyć się obecnie w Warszawie. Operę ożywiły występy lwowskiej *primadonny*, pani Arklowej, młodej artystki, niepospolicie uzdolnionej, obdarzonej świeżym głosem, dźwięcznym i sympatycznym, chociaż nie dosyć jeszcze wyrobionym w średnim rejestrze.

Pani A. od pół roku zaledwie występuje publicznie; całkiem niespodzianie zjawiała się na scenie i w przeciągu kilku miesięcy potrafiła zająć repertoarem takich oper, jak „Hugonoci”, „Aida”, „Trubadur”, „Afrykanka”, „Konrad Wallenrod” i t. d. Żona lekarza zamożnego, nie dla materialnych korzyści wyszła z domowego zacisza i wstąpiła na scenę, ale z prawdziwego poczucia artystycznego i gorącego zamiłowania sztuki, której poświęca się z zapałem i rozkoszą.

Wzmianka o operze przypomina nam jubileusz jednego z jej dyrektorów, p. Adama Münchheimera, kończącego w tych dniach trzydzieści pięć lat pracy w teatrze warszawskim, znanego kompozytora i muzyka, twórcy „Otona Łuczniaka”, „Stradyoty” i nowej, niewystawionej jeszcze u nas, opery: „Mazepa”. W uznaniu jego zasług i talentu kolledzy i współtowarzysze pracy postanowili uczcić dzień jego jubileuszu uroczystą owacją, wręczeniem mu złotego medalu i dyrektorskiej paleczki.

Przygotowuje się też jubileusz literacki znanego powieściopisarza Jana Zacharyasiewicza, który również w tym miesiącu kończy trzydzieści pięć lat autorskiego zawodu i może z chlubą wskazać cały stos swoich dzieł, zawierający z jakich osmdziesiąt tomów druku. Belletrystyka nasza zawdzięcza mu od chwili wydania pierwszej dwutomowej powieści pod tyt: „Uczony”, cały szereg utworów, zawsze szlachetną myślą i dążnością nacechowanych.

Autor „Św. Jura”, „W przededniu”, „Zakrytych kart” i tylu innych obrazów społecznych i obyczajowych, umiał odzwierciedlać z fotograficzną niemal wiernością pewne momenta epoki, zbierać charakterystyczne rysy ludzi i wypadków, rozwijać w formie powieściowej bieżące kwestye danej chwili i być niejako historykiem i publicystą swego czasu w granicach najpopularniejszego działu literatury, w granicach belletrystyki.

Trzydzieści pięć lat tej ucziwej, owocnej, zawsze z myślą o pożytku ogółu przedsiębranej pracy, zasługują na uznanie i objaw wdzięczności.

W zeszłym roku, wyprzedzając niejako jubileusz sympatycznego pisarza i człowieka, *Bluszcz* zamieścił portret i życiorys Zacharyasiewicza, i z chlubą zaliczył go do swoich najcenniejszych współpracowników; dzisiaj wolno nam zatem przestać tylko na okrzyku na cześć jubilata i życzeniach, aby długo jeszcze, do złotego wesela z literaturą naszą tworzył i obdarzał nas takimi klejnocikami, jak ostatnia jego nowella, pomieszczona przed niedawnym czasem w felietonach *Gazety Polskiej* pod tytułem: „Polska miłość”.

Smutny obowiązek zachowujemy, jak zazwyczaj, na sam koniec Pogawędki i tym razem przychodzi nam zanotować dwie nowe ofiary, które śmierć wydarła z łona społeczeństwa naszego. W Lublinie w zeszły Poniedziałek pochowano ś. p. księdza Kazimierza Wnorowskiego, zamianowanego przed dwoma laty biskupem tamtejszej diecezji. Duchowieństwo polskie traci w nim zanego, wzorowego kapłana, który całym życiem swoim służył za wzór chrześcijańskiej miłości i poświęcenia. Ojcem ubogich go nazywano, bo poojcówskowi obchodził się z biedą i nędzą ludzką, obejmując sobie od ust, byle głodnych nakarmić, nagich przyodziać, chorych leczyć a strapionych pocieszać.

Sam na dobrowolne skazany ubóstwo, innym rozdawał, co miał, i wspomagał potrzebnych, zaczawszy od własnej rodziny, a skończywszy na najdalszych bez różnicy wyznania. Człowiek, a nieszczęśliwy, miał prawo do jego serca i kieszni. W diecezji swojej, pomimo krótkiego pobytu, pozyskał taką miłość i szacunek, że wieść o jego chorobie dotknęła wszystkich do żywego, a śmierć zanego dusz pasterza głębokim smutkiem przejęła całe Lubelskie. Na pogrzebie przybyło duchowieństwo z najdalszych stron, liczne deputacje pośpieszyły z wyrazem hołdu dla cnót i zasług zmarłego.

Druga mogiła zamknęła się nad zwłokami szlachetnego starca, którego nazwisko zapisała odda-



wna już literatura polska na liście dobrze zasłużonych swych pracowników.

W Poznaniu umarł przyjaciel i kolega szkolny Zygmunta Krasińskiego. poeta, krytyk, tłumacz Shakespeare'a. prezes Towarzystwa Przyjaciół Nauk, s. p. Stanisław Koźmian; atak apoplektyczny powalił go był przed rokiem na łożu boleści, z którego śmierć przeniosła go do trumny.

Znakomity znawca Literatury Angielskiej i stosunków społecznych i politycznych Albionu, zasłużył się rozpowszechnianiem u nas wiadomości o tym kraju i jego duchowych płodach, wzbogaciwszy nasze piśmiennictwo przekładami arcydzieł Shakespeare'a. które pomieszczone zostały w zbiorowym wydaniu utworów genialnego poety.

Ze stosunków swoich z autorem „Nieboskiej komedii“ s. p. Koźmian posiadał obfity materyał, który kiedyś przyczyni się do napisania wyczerpującej monografii Krasińskiego.

## DOBRY PRZYKŁAD.

(Dokończenie).

Ktoby chciał całe dzieło wychowania na samym tylko dobrym przykładzie zbudować, bynajmniej nie zbłądzi; i szlachetnie ukształtowana istota ludzka pewnie się z tak prowadzonego wychowania wyrobi, niż gdyby podawane mu najtroskliwiej i najpiękniejsze nauki moralności nie miały na poparcie swoje dobrego przykładu. Każde podrastające, a nieco inteligentniejsze dziecko samo sobie z dobrego przykładu naukę taką mimowolnie wyprowadzi; gdy mniej bogato od natury uposażone, tępszego umysłu i leniwej myśli, przyjmie dobro jako nawyknięcie i mniej świadomie, ale niemniej szczęśliwie skarb dobra, przez takie wychowanie nabyty. w życie ze sobą poniesie. Gdy Rousseau *Emila* swego zdala od ludzi trzymając, kazał mu wszystko, od cnoty do sił umysłu z głębi własnej brać i rozwijać, odbierał mu przez to przykład dobry, ale drugostronnie bronił go od największej, najcięższej klęski, jaką nieświadomą życia młodość spotkać może — od złego przykładu. Na łonie natury wychowywała się istota czysta, spokojnie od tej natury biorąc wzór czynnego rozwijania sił swoich, wstrzemięźliwego używania i bardzo potrzebną wiedzę tej konsekwentnej sprawiedliwości, że wszystko, co jako rzeczywistą własność naszą posiadać chcemy, musimy sobie zdobyć, zarobić na to pracą własną. Ale taki system wychowywania nietylko że sztuczny i trudny do przeprowadzenia w praktyce zwyczajnego życia, wydziedziczał dziecko z moralnych dorobków ludzkości, które na niego przechodziły naturalnem prawem spadku po pokoleniach ojców jego i dziadów — utrudniał mu pracę życia, przez poszukiwanie dróg, już dawno odkrytych i otaczał dzieciństwo jego sztuczną ślepotą, ubożył je o wszystkie dobrodziejstwa dobrego przykładu, dlatego, aby zły przykład zepsucia swego w większą młodej istoty nie sączył. Choć dziś nikt już dzieci nie chowa wedle modły geneńskiego filozofa, przecież każdy wychowawca powinien jego *Emila* przeczytać, aby znaczenie przykładu w wychowaniu zrozumieć. Ze nawyknięcia dzieciństwa stanowią w bardzo ważnej części o gustach i upodobaniach naszych, wie każdy, kto człowieka i naturę jego wykształcalności badał, tak jak każdy zastanawiający się nad tem zrozumie, jaką to nicią upodobania i sympatyje człowieka z moralną jego treścią się łączą.

Dać dziecku przykład dobry, dobrym przykładem młode lata jego otoczyć, jest to niemal o przyszłości jego rozstrzygnąć. Piszę *niemal*, bo wielką jest potęgą w duchu pewnych ludzi złożona, i ci umieją, mogą powijaki wychowania swego z siebie zrywać i odrzucać precz, daleko to, co przesądem i złym nawyknięciem w nich wstąpiło. Ale są to wyjątki szczęśliwe, natury szczególnie silne, które też sobie zawsze i wszędzie radzić potrafią; uniosą, pod czem inni padają, zrzucą ze siebie

w zamachu zwyciężkim brzemie, które innych od kolebki do grobu gnieść i ku ziemi przyciskać będzie. Ale wyjątki nie stanowią o ogóle: prawdziem wychowawczem dla tego ogółu jest i być musi, że wychowanie powinno rosnącemu człowiekowi rękę ku dobremu podać, i utwierdzić go w niem przez wszelkie możliwe środki, z których dobry przykład jest stanowczo najważniejszym.

Nikt nie piękniejszego a razem rozumniejszego o sile wychowawczej dobrego przykładu, nie napisał nad to, co Żmichowska skreśliła w rozdziale pierwszym do *Poganki*, gdzie najmłodsze dziecko licznej rodziny, syn Benjamin, takie o swoim dzieciństwie wspomnienie czyni: — „Jak długo mnie usypiano, pieszczono, kołysano bez mojej wiedzy, jak ja rozwijałem się w tem ciepłe uczucie, w tej pogodzie szczęścia, jak mi cała treść istoty mojej nasiąkała niejako tą pieśnią miłości różnie i wszechstronnie — nie pamiętam, a jednak było to już moje życie, była to już przyczyna jakaś późniejszych następstw, chwila rodzicielka wszystkich chwil, wszystkich lat moich! Kiedy się raz pierwszy poczułem i obejrzałem po świecie, znalazłem już jej owoc w głębi ducha mego i stał mi się tem, co nazywają skłonnością, charakterem, naturą. Każdy mnie kochał i ja się ocknałem kochając każdego, ale to kochając tak niezbędną koniecznością organizmu, jak się je, pije“.

Kochano to dziecko szczęśliwe, więc i nie czyniono mu krzywdy, nie wystawiano go na cierpienie, nie drażniono złem obejmieniem się, niesprawiedliwością, cierpkością ostrego usposobienia, nie marszczono się na nie posępnie i młoda istota nie potrzebowała też wydostawać z głębi swojej tych uczuć smutnych, i ujemnie na ducha ludzkiego działających, które byłyby odporem przeciwko wrogo dlań usposobionym ludziom — rezultatem obronnego przeciwstawiania się, złem następstwem złego. Dziecko nie potrzebowało uczuć gniewu, żalu, nienawiści dla nikogo, nie potrzebowało bronić się chytrą i podstępem, kłamać, zwodzić, kryć się z myślami, zamiarami, chęciami swojemi i w słońcu miłości rozwijała się ta młodość piękna w dobroci, w prawdzie, w szczerości uczuć; rosła w porzyty szlachetne, dla każdego przychylna — rozwijała się w harmonii najpiękniejszych przymiotów człowieka i te tylko władze dodatnie wyrabiała w sobie, nie rozbudzając ujemnych, które zatem jak rzecz wszelka, wnieruch zostawiana, nie krzepiły się w moc, zanikały. Tak fizycznie jak moralnie, siły nie używane krzepną w nas, organa słabną, zdolności zatracają się z wolna i dla tych to właściwości natury ludzkiej dziecko może być kształconem — wychowywanem. Wyraz edukacja, pochodzi od wyrazu łacińskiego „educere“ wyprowadzać, to jest wydobywać na wierzch pewne, złożone w człowieku siły i skłonności. Można przez wychowanie uderzać w te lub inne klawisze ducha i odpowiedzą nam. Przykład jest tu działaniem najpotężniejszym, bo dziecko, które jeszcze nie jest zdolne obejmować umysłem, przez słabiuchny rozum sądzić i pojmować, słowa wszelkich nauk mimo uszu puszcza lub zapomina ich prędko, ale przykład zły lub dobry dobitną wyrazistością swoją, swoją plastycznością uderza silniej, mocniej mu się w myśl wraza i do naśladowania skłania. Dzieci, tak jak ludy dzikie, w dzieciństwie umysłu zostające, skłonne są do naśladowania w stopniu bardzo wysokim, tem wyższym, im dziecko jest inteligentniejsze. Bezmyślność zupełna, jest jak bryła martwa, i tylko siła fizyczna na nią działa; doskonałe umysłu rozwinięcie daje samodzielność, daje chęć kierowania się siłą własną, ale inteligencya kiełkująca, która już coś pojmuje, ale jeszcze całości ogarnąć nie może, jest naśladowczą. I z tego-to naśladowczego usposobienia dzieciństwa, pierwszego wieku młodzieńczego, musi wychowawca korzystać, aby otrzymać skierowanie się istoty młodej ku dobremu, zanim ustalony rozum kierunek ten jej wytknie.

Nawyknięcie wyrabia skłonności, rozwija usposobienia, tworzy zamiłowania, i ztąd też tak a nie inaczej przeżyte lata młodości stanowią często, a dla większości ludzi przeważnie, o późniejszym kierunku życia, nawet o rozwoju umysłowym. Tak jak nałóg powstaje w nas z przyzwyczajenia fizycznego, tak w sferze myśli tworzy się przesąd. Dać

młodości przyzwyczajenia szlachetne, otrzymane przez działanie dobre wzniósłego przykładu pierwszej, niż myśl sądząca decydować przyjdzie, to znaczy ubezpieczyć życie przeciw omyłkom, błędom, a razem przeciw wszystkim zacieśnionym poglądom, ograniczeniu się w pożądaniach swoich do rzeczy małych i lichych, tuż przy ziemi rosnących. Działać też trzeba podwójnie, jeżeli chcemy piękną całość otrzymać: w życiu codziennem otaczać dziecko przykładami uczciwości, sprawiedliwości, miłości bliźniego; przy kształceniu umysłu stawiać mu przykłady naukowości, które nie dla samych stosowanych korzyści wiedzę garnie, pokazywać mu ukochanie jej dla celów wyższych i świętszych. Kiedy Batory, mówił do żaka: „Ucz się, chłopcze, a zrobię cię mości panem!“ to chciał mu przez to szlachetną ambycją w piersi obudzić; lecz gdyby on sam przez przykład swój przedstawiał w obrazie pańskości, wysokiego stanowiska życia tylko przepych i używanie, byłby psuł to dziecko, stawiając mu przed umysłem niskiego gatunku nagrodę nauki. Ale, że on osobiście przedstawiał właśnie w tej chwili piękną postać szlachetnego rycerza, posiadającego siłę górnej, zasługę jedynąjącej działalności, przykład jego mógł serce chłopca ogrzać uczuciem wzniósłemu i być szlachetnym bodźcem w nauce, mogącej sprowadzić wywyższenie.

Najwięcej w wychowaniu znaczącem jest zły lub dobry przykład, dawany przez tych, których dziecko silniej kocha, lub wyżej nad innych ceni, i jeżeli jest szkodliwą dla niego rzeczą zły przykład od kogokolwiek dostawać, szkodliwszym on jest przecież, gdy pochodzi od krewnych i przyjaciół rodziny, od nauczycieli, a najszkodliwszym, moralnie zabójczym, gdy mu go dają rodzice.

Wiemy, że dziecko, zwłaszcza młode, najwyżej, najsilniej kocha ojca i matkę. Początkowo jest to instynkt, następnie uczucie już wolne, które przecież w naturalny sposób skierowują się na rodziców. Oni — to jego najsilniejsza opieka; oni — to jego najtkliwsza pieszczota, powaga władzy i mądrości najwyższej, źródło życiodajne, przez które spływa nań wszystko, co ma. Kocha więc przez wdzięczność, przez ufność: kocha nierozdzielając się jeszcze na nikogo innego siłą uczucia, a to, co jest nawet w pierwszym zaraniu życia objawem idealności człowieka, że ukochanie swoje wiąże koniecznie z pojęciem doskonałości, sprawia, że dziecko uważa rodziców swoich za dobrych, za najlepszych ludzi podniesionych nad wszystkie wady, niedostępnych dla błędu, omyłki, niesprawiedliwości, nieprawości. Dobrze, że tak jest i tak koniecznie być powinno, aby wychowanie mogło być wpływem kształcącym, edukacyjnym — to jest wyprowadzającym z nieurobionej jeszcze natury młodej siły dodatnie, kierujące się ku celom pożądanym dobra i piękna. I wszyscy rodzice, można powiedzieć: wszyscy bez wyjątku, tego pragną. Najobojętniejsi nawet, najbardziej leniwi i najmniej zadający sobie trudu wychowawczego, mają przecież choćby nieokreśloną chęć wychowywania dziecka swego dobrze. Mogą niejasno, a nawet fałszywie ideał dobra moralnego pojmować; może im braknąć sił ducha do działania, zawsze przecież jest w nich pewne, niższe wyższe, pragnienie osiągnięcia tego rezultatu i wyrodność już tylko wyzuwa się z chęci takich. Często zdarza się spotykać rodziców na własny swój rachunek upadłych, którzy jednak dzieci swoje chcieliby od takiego losu uchronić i ci, usiłując im usuwać z przed oczu przykłady złego, przez które ich postępowanie kazić-by mogło te istoty młode. Ale na to trzeba mieć pojęcie stanu swego, co zdarza się tylko u rodziców niektórych i najczęściej wtedy dopiero, gdy przez słabość upadną bardzo nisko, tak, że świat cały zarzut złego w oczy im ciska, a oni, rozumiejąc poniżenie swoje, już nie mogą wyjść z zakłętą koła swaj nędzy duchowej. Ale takich położeń skrajnych jest niewiele, gdy tymczasem znajduje się między ludźmi na świecie mnóstwo wad, słabości, występków, przesądów; mnóstwo fałszywych poglądów, istnień niskich — małości, lichości, poziomu, która przykładem swoim musi licho, poziomo na młode natury oddziaływać i mimo dążności dobrej, którą rodzice w sercu noszą, dzieci ich psuć.



Stan to jest niesłychanie smutny i tworzy zamknięty wawóz bez wyjścia, bo cóż, gdy dzieci spostrzegą, że to, co jest zasadą moralną w przykazaniu Chystrusowem, w kodexie praw szlacheckiej ludzkości, sprzecza się z przykładem życia ich rodziców? Coż gdy ci rodzice ukazują im się w życiu owem jako próżność i pycha małoduszna, jako niskie pożądanie używania, blasku zewnętrznego, chciwość grosza, samolubstwo, odcinanie się obojętne od wielkich, świętych spraw społeczności swojej, dbałość jedynie o swój interes, mały, nędzny, poziomy interes, odwracający się chłodno od tego, co istota młoda zaczyna już czuć, jako wyższą godność, uwielbiać jako wyższą piękność ducha — siłę charakteru, dostojność i podniosłość moralną?

Co się wtedy dzieje z sercem biednym takiego dziecka, z synem, lub córką młodą?

Albo wraz z szacunkiem tracą i uczucie przywiązania, a wtedy przez serce, które im się w piersiach twardo staje, ponoszą szkodę ogromną, bo zwykle robią się z nich ludzie zamknięci w sobie, zimni, surowi, pogardliwie wyniosli; albo, gdy miłość przetrwa to nawet, cierpią i noszą w piersi ranę głęboką, a często, jeżeli charakter nie był mocno ugruntowany, słabną i biorą złą lekcyę życia. Miłość rozłącza się u nich z pojęciem dobra; już go nie potrzebują jako ideału, aby serce ich uderzyło. Mogą kochać nisko, poziomie, rozbiierają się z podniosłości i świętości uczucia i nierzadko schodzą po tej pochyłości tak nisko, że ów ojciec, owa matka nieszczęsna — rodzice ci, co byli tu kamieniem obrazy, pierwszą złego przyczyną, mogą załamać ręce z rozpacz.

Wychowanie ma to do siebie, że bez przykładów szlacheckich, któreby wzwyż dźwigały, tracą dzieci niżej, niżeli stali rodzice. Jest to konieczne prawo postępu, ewolucyi, bo nic co jest życiem żywym, bez ruchu trwać nie może: albo rozwija się, kształci, doskonali i w górę idzie, albo słabnie, maleje, w dół się stacza; każdy, studiujący historię świata, widzi to warstwowanie się moralne u narodów wszystkich. Po Epoce Saskiej przychodzi Epoka Stanisławowska, po picu i popuszczaniu pasa — podłość, i wtedy już nawet wielki przykład nie zbawia: Reytan rzuca się daremnie szlachetnem swem ciałem o ziemię, dla uciekających tchórzów barykadę z siebie czyniąc. Przeskakują przez niego, jak stado zwierząt spłoszonych, a przykład poświęcenia, boleści szlacheckiej, idzie na karty dziejów, aby służyć za przykład pokoleniu innemu, które się ma wychować podniosłej.

M. Ilucka.

## CZECZOTKA

Powieść z dawnych czasów

przez

Piotra Jaxę Bykowskiego.

(Dalszy ciąg).

Wracając z nabożeństwa, wzięli pomiędzy siebie bernardyna, któremu służyli za podpórę fizyczną w jego niemocy, ale prędzej może starszek ksiądz ich podpierał duchowo w srogiej alteracji. Za przybyciem w ganku już zastali przygotowany posiłek; w każdym innym razie raczyliby się *honeste*, boć to ząb szlachecki najostroższy bywa po rannej modlitwie; lecz jakoś braciom nie do jada było i zaledwie półgębkiem cześć oddali staraniom gospodyń, czem się one widocznie zmartwiły.

Koniec końców, jakoś się nie kleiło. Już i p. Tomasz chciał zaniechać rozpoczętej sprawy i pod pretextem, iż mu pilno było, kazał zaprzęgać. Gospodarz *pro forma* zatrzymywał, ale zlekka. Starszek ksiądz był świadom rzeczy, ale nie brało mu się na dyplomacyę, ażeby ją na wierzch wydobyć: słowem ciężki przymus nad wszystkimi zapanował.

— Wiesz co, panie bracie — zdobył się na od-

wagę gospodarz — kiedy to się bywało na wojnie, miałem sposobność skonwinkować się, iż tchórze najgorzej wychodzą, a zawsze pierwsi natrafiają na niebezpieczeństwo, którego gorliwie unikają, stawiający mu zaś śmieje czoło, częściej wyjdą bez szwanku.

— Ono to tak zwykle bywa — wtrącił gość, idąc skwapliwie naprzeciw dobrej woli gospodarza.

— He! — prawil p. Wincenty — Czeczotkowie z łaski Boga, przez pięć pokoleń zagłębiwszy się w one urwiska, żyli sobie *procul negotiis*, nie znali świata, tych jego *sprów* i *interessów*, ani jego złości ani miłości, która podczas gorszą od tamtej bywa, wszakże nie idzie zatem, aby mi Bóg nie sądził inaczej, — tamtym się „skrupiło a mnie się zmiele“, — niech się dzieje wola boża! — Wiem, zaś panie bracie, i zanadto polegają na twojem sercu i affekcie dla mnie, iż jeśli ten tam „interes“ jest czemsiś złem, toś nie wymyślił go dla pogńeblenia mnie i zmortyfikowania; przykrość zaś z pocziwłej ręki straci coś ze swej goryczy — mów śmiało!

Panu Tomaszowi jakby kto usta rozwiązał po tych słowach; poczał skwapliwie:

— Masz słusność, panie bracie, bo, tak mi Boże dopomóż, iż w nieklamany affekcie dla ciebie radbym ci nieba przychylić. Otóż dowiedz się, że chociaż nie z własnego popędu przybywam, ale nie ci złego nie przywożę: owszem, pomysłną wieść, która raz cię wyrwie z tego osamotnienia, z klauzury dobrowolnej.

— A niech-że ucałuję te błogosławione usta, które mi to zwiastują! Dawnom tego czekał — zawołał z ferworem, rzucając się w objęcia bratu.

To już nie chybi, jest wojenka, czułem w powietrzu, iż coś się gotuje; a zresztą, powiem ci, że nie tyle dla mnie, ile dla mego Justka. Bo to ci powiadam, kubek w kubek... Przeszedłem na poetykę jak Justek, w temsamem lwowskim *collegium*, kiedy ojciec nieboszczyk, partyzant króla Leszczyńskiego, wziął mię wyrostka i całe to straszne obłożenie Gdańska odbyliśmy. Tonie: potem dla młodego siła onej nauki, głowę tylko zawraca, a na wojnie człek się otrze między ludźmi i nabierze tego poloru, a doświadczenia, którego żadne szkoły nie dadzą. Mówże, panie bracie, gdzie, jak, co się zawiązuje? — stanę pierwszy z moim chłopcem.

Mówił to wszystko gospodarz jednym tchem prawie, nie zostawując gościowi czasu do opamiętania się i rozmyśłu nad tem, jak wybrnąć z kłopotu.

— Ależ poczekaj, panie bracie, pozwól mi domówić rzetelnie. Jako żywo, wszystko jest pokojowo i na wojnę wcale się nie zanosz — prawil gość zbity z tropu.

— Nie zanosz się — powiadasz — odburknął gospodarz — a cóż waś mówisz, aby mię z mego zacisza wydobyć, kiedy ci powiadano, że Czeczotkowie od wieków ruszają się ztąd tylko na wojnę; inaczej prochem mię ztąd nie wysadzisz.

— Bóg ci dał syna, panie bracie, czyliż na tej waszej kreciej norze świat się kończy?

— Co powiadasz o kreciej norze? dla kreta nora to ojczyzna, to ziemia obiecana. Spytaj brat księdza stryja, jak my tu waleczymy z kretami i czyli tak łatwo da się wyparować ze swojej nory? Tak, dla brata nora, a dla Czeczotków Czeczotka! Niech każdy swego pilnuje, gdzie się zrodził i wyrósł! — zawołał p. Wincenty gwałtownie, a uspakajając się, dodał:

— Cóż dasz kretowi lepszego nad jego norę, a mnie nad to zacisze urwisko?

— Myślałem, panie bracie — rozpoczał Tomasz nieśmiało — dobrą ci zwiastować nowinę, że panu wojewodzie podobala się twoja wioska.

— Panu wojewodzie moja wioska? — wzruszywszy ramionami, odparł gospodarz — czy kpisz czy drogi pytasz, panie bracie, a gdzieżby ją widział. A, już teraz rozumiem, jako *facetus*, chcesz wyprowadzić zemną jakąś krotofilę swoim zwyczajem, ale uprzedzam, iż na ten raz nie dam się złapać.

Pozycya p. Tomasza coraz się więcej plątała, nie mógł wybrnąć z zakłopotania, aby dopowiedzieć co mu na sercu leżało; starszek zaś, Bernardyn, nieco głuchy przez wiek, niedosłyszawszy rozmowy, nie mógł mu przyjść z pomocą.

— Ależ, bracie, jak mi Bóg miły, jak ci pragnę wszelkiego dobra, tak wcale sobie nie drwinkuję, bo właśnie z tem przybywam, aby ci zaproponować sprzedaż wioski. Niemiec, który w Krystynopolu nowy ogród zakłada, jak jał z najwyższej baszty przez lunetę przegłądać, upatrzył sobie to urwisko i chce je do ogrodu przyłączyć; ma tu porobić jakieś kaskady, fontanny i kat tam wie jakie niemieckie figle — a dlatego, rozumiesz ....

Rozpoczał p. Tomasz z całą siłą perswazyi, na jaką tylko mógł się zdobyć, aby do jakiego takiego dojść końca, gdy mu gospodarz przerwał z passją, przedrzeźniając go:

— A no, czemuż nie mam rozumieć, kiedy to takie jasne! Mnie samemu podobał się zamek krystynopolski; chcę tam sobie założyć oborę nową i właśnie chciałem proponować p. wojewodzie ustąpienie.

Po tych słowach wskazał na wierzchołki skał, na których pod firmamentem szarzały wieże zamku.

Panu Tomaszowi ręce opadły na to wystąpienie dziwaczne, i już napół niecierpliwie; perswadował:

— Nie bądź-że dzieckiem, p. Wincenty, bo chociaż służę p. wojewodzie, wszelako nie tknąłbym tej sprawy, gdyby tobie jakikolwiek uszczerbek przynieść mogła; owszem, widzę tu twoją korzyść i zapewnienie przyszłości twoich dzieci; wojewoda jest pan, chce i może zapłacić, a masz okazję te twoje kamyki zamienić na jaką porządną wioskę.

— A co mi kto ma powiadać, gdzie mi dobrze i co mi jest pożądanem? Już jak powiadałem, kret lubi swoje kretowisko, ja moję Czeczotkę, p. wojewoda swój Krystynopol: niech każdy siedzi gdzie go Bóg posadził — zawołał gniewnie p. Wincenty.

— A czemuż się nie przesiasz wygodniej, kiedy się zdarza potemu okazyja, mój panie bracie? Na to Bóg panów stworzył, ażeby mieli swoje fantazyje, a szlachtę, by z niej korzystała.

— Kiedy się podczas szukało guza na tym waszym świecie, słyszałem tam mówiących, iż „szlachciec na zagrodzie równy wojewodzie“: czemuż więc, wolno jasnie panu Potockiemu chcieć mojej mizernej Czeczotki, a mnie nie wolno pragnąć Krystynopola? Albo wiesz co, panie bracie, ażeby dowiódł mojej powolności dla jasnie wielmożnego pana, mieniam się na Czeczotkę za Krystynopol, głowa na głowę, i niech sobie p. wojewoda czy pani wojewodzina, zakłada tu ogrody, fontanny i co się tylko żywcem spodoba; a tymczasem krówki p. Maciejowej będą sobie rezydowały na pańskim zamku. No, zgoda, oto daję ci rękę jako pełnomocnikowi wojewody, a chcesz? spisz komplamację — zaraz podpiszę.

— Zbywasz to drwinami, panie bracie — prawil nachmurzony pan Tomasz — a w rzeczy pojąć nie mogę, co na tej zapadni tak zależy?

— Co? — żałośnie kiwając głową, mówił p. Wincenty — sam z niej niejako pochodzisz, albowiem twoją prababką Czeczotkówną *de domo* i mój pradziad byli sobie rodzeni. Powinienbyś wiedzieć, co nas tu wiąże? — oto krew pot i praca. Jeszcze dziad mojego pradziada, a twej prababki, sprzykrzywszy sobie świat, a niech to będzie niewymownem panu bratu, natrąfiwszy w Proszowskiem, gdzie siedział i zład gniazdo Czeczotków poszło, na takiego wojewodę sąsiada, któremu się jego kawałek ojcowizny podobał, tak, nieprzymierzając, jak niby ów mój zakątek panu krystynopolskiemu, wyparty z dziedzictwa, schronił się w te oto skały, które wówczas były jeszcze dziką jaskinią. Pracował w pocie czoła, a po pewnym lat przeciągu umierając, dwóm synom swoim ten obszar uprawy pozostawił, a od swej godności szlacheckiej nazwawszy jedną połowę Czeczotką, a drugą Prawdzicami, od naszego klejnotu *Prawdzic*, rozdzielił pomiędzy dwóch synów, nakazując im pod błogosławieństwem, aby z pokolenia w pokolenie zachowywali one tradycję, a ziemię swą trzymali, dopóki stanie ich rodu.

— Jak zapowiedział nasz antenat, tak się też działo przez pięć pokoleń, że Maciej Czeczotka zawsze siedział na Prawdzicach, a Wincenty na Czeczotce; wolno im było tylko wzywać za te skały dla ożenku raz w życiu, lub czasu wojny:



jakoż tak czynili, że zawsze jeden starszy z każdego szczepu pozostawał przy ziemi, reszta w świat się rozchodziła, dziewczki za mąż, a chłopcy, gdzie który mógł, ot, na przykład, jak ksiądz stryj, do zakonu.

Aż oto linia Prawdziców wygasła po mieczu na nieboszczyku Macieju, mężu jejmości, który pozostawił tylko jedną córkę, Zosię, schodząc bez męskiego potomka.

— Owoż widzisz, panie bracie, może to być pewnym prognostykiem, że już wam ta ziemia nie służy — przerwał p. Tomasz.

— Jak jest, tak jest, ale my jej służyć musimy, kiedy była taka wola przodka. Wprawdzie na nas zaczął się ów porządek kilku pokoleń urywać, bo i ja straciłem starszego syna, Wincentego, który miał tu po mnie zasiąść; chcąc to jakoś powetować, skoro oboje owdowieliliśmy z panią Maciejową, a oboje byliśmy jeszcze dość czerstwi, proponowałem jejmości, abyśmy ze sobą ponowili związek małżeński, lecz się kobiecina temu oparła, nie chcąc robić krzywdy córce; a żem czuł do niej affekt gorący, a krew nie woda, więc z rady księdza stryja, jako *memento* przystojności, oddzielił się kolorami, jak to pan brat widzisz, a zamiast naszego związku, postanowiliśmy pożenić nasze dzieci, skoro wyrosną, bo już pomiędzy nimi niema pokrewieństwa, a niech się od nich nowy szczep Prawdziców Czeczotków poczyni, ale zawsze na Czeczotkach i Prawdzicach, jak to chcieli mieć ojcowie. Owoż masz, p. wojewoda, kiedy mu się tak spodobały nasze krzemienie, niech się sobie smakiem obejdzie, a ja przy mojej skromnej Czeczotce pozostanę — zakończył p. Wincenty stanowczo.

— Azaliż mądrze to jest, panie bracie, że, mając dobrą sposobność zamiany czeczotki na orla, trwasz przy niej tak uparcie, nie bacząc na polepszenie bytu dzieci? — perswadował p. Tomasz.

— Ba, lepszy jak to mówią, wróbel w rękę, niż cietrzew na sęku. Widzisz, ja bo kocham tę moją Czeczotkę jak ptak swoje gniazdeczko, bo jako ptacy my je zbudowaliśmy i jak one ptaszyny od ojca do syna znosiliśmy na ten grunt skalisty ziarnko po ziarnku ziemi rodzącej, aby ją użyć... i jażbym tę krwawicę i potem ojców miał frymarzyć? — zakończył z siłą p. Wincenty.

— Do czego ci te sentymenta, panie bracie, które chleba nie dają. Użyźnialiście tę ziemię, ona was wyżywiła, a teraz idźcie na inną, kiedy się okazywa zdarza. Powiadam waszmości, ta wasza zapadnia tak się podobala samej wojewodzinie, iż ją mieć musi, bo to już taka w tej pani natura zacięta.... drzyjcie więc łyka, póki się dają, a już moja w tem głowa i affekt dla was braterski, że za waszą ziemię weźmiecie wtrójnasób co warta.

— Wdzięchen ci za dobrą chęć, bracie Tomasz, o której nie wątpię, ale miej to sobie za ostatnie słowo, bo z gęby cholewy nie robię, że, gdyby mi wojewoda ośpał całą tę przestrzeń złotem, dukat przy dukacie, to się z ziemi ojców nie ruszę, i jeżeli mnie kochasz, już mi o tem nie wspomnisz, a na dowód, że za rekuzę nie chowasz do mnie rankoru, każ wyprządz konie i wypijmy jeszcze na dobrą myśl, aby nasz affekt braterski nie stygł.

Widocznie ta kordyalność gospodarza nie do smaku była gościowi, ale napozór przyjął ją chętnie i we trzech z Bernardynem zasiedli przy miodku, gwarząc sobie o tem i owem, jak zazwyczaj; wszelako pan Tomasz przemyślał sobie, jakby zerwany gwałtownie wątek dawnej rozmowy nawiązać, lecz widząc, że mu się to jakoś nie klei, wziął na odwagę i rozpoczął:

— Owoż, panie bracie, najlepiej będzie tak pomówić prosto z mostu, bo to *clara pacta claros faciunt amicos*; radnierał muszę ci zwiastować nieprzyjemną nowinę, iż nad twoją ziemią, którą tak miłujesz, zawisła groźna sprawa graniczna.

— Sprawa graniczna, ze mną? Ja tylko granicę z Bogiem, orłami i sępami. Kto mię powie o granicy? — wskazując na niebo, przerwał gwałtownie p. Wincenty.

— Wysłuchaj mię spokojnie, panie bracie — mitygował passyą gospodarza p. Tomasz — wszakże graniczyś z państwem krystynopolskiem....

— To przecie nie ja, ale te skały, których nie

używam i przodkowie moi nie używali; komuż tam mogłem worać się lub wkopać w miedzę, kiedy ręka tam ludzka od stworzenia świata niczego nie tknęła?

(Dalszy ciąg nastąpi).

## PRZEGLĄD TEATRALNY.

### XLII.

Friebe, komedia w 5 aktach, oryginalnie napisana przez Kazimierza Zalewskiego; przedstawiona w Teatrze Rozmaitości po raz pierwszy d. 11 Kwietnia 1885 r. —

Zwykłym dotychczas obyczajem, Niemiec na scenie naszej dorabiał się majątku krzywdą i potem ludzkim, kosztem tych żywiołów, którym łatwiej wydawać z siebie pierwszorzędą w świecie poezią, niż porządnym rzemieślników i przemysłowców. Niemiec taki bywał zwykle malowany na czarno, wzbudzał odrazę, a nie przeszedł przez scenę bez piętna śmieszności. Sam p. Zalewski takich już Niemców malował. Takim też Niemcem jest i Friebe, ale tego Friebego nie widzimy wcale w nowym utworze; stoi on przez cały czas za kotarą, a wchodzi na scenę dopiero po ostatnim zapadnięciu zasłony. Widzimy go tylko w zwierciadle opinii, jaką o nim mają osoby rzeczywiste już występujące. Wygląda on tu czarno, bardzo czarno, ale ponieważ nie istnieje dla widza, zatem uwaga krytyczna wcale zajmować się nim nie może. Jest zato w sztuce p. Zalewskiego inny rodzaj Niemców: Niemcy tracący majątki, których się dorobili, nawet nie krzywdą i potem polskim, ale rozumem i energią, pracą i oszczędnością. Przedstawienie takich Niemców, niewykrojonych według dawnego banalnego patronu, nadaje pomysłowi znamię oryginalności. Nowe to *genus* Niemców przystaje do społeczeństwa, w którym się wzbogaciło zżywa się z krajem i powszechnością jego narodową, ciąży ku wspólnemu środkowi, jako promień wspólnego koła, a nawet i w tem jeszcze ciężenie swe objawia, że, dorobiwszy się milionów oszczędnością i pracą, marnuje je rozrzutnością i próżniactwem: utrzymuje się więc i w fizjologicznej i w patologicznej wspólności z wielkim ośrodkiem, w który przed laty było weszło.

Przed laty! To właśnie ostrzega nas, żebyśmy nie szukali w sztuce procesu zrastania się nowych żywiołów z dawnymi, autochtonicznymi: proces ten dawno się już dokonał, zanim się sztuka rozpoczęła; patrzymy już na gotowych ludzi, złych czy dobrych, ale nie wspólnego przez swój ruch wewnętrzny z tematem niemiectwa w kraju naszym niemających. Są to zwykli utracysze, przez pychę i zmysłowość wyrzucający miliony ojcowskie na bruki Paryża. Wiednia i Warszawy. Autor dał im nazwę Wiese, ale mógł być tak samo nazwać ich Wizińskimi: nie-by się w nich nie zmieniło.

Pomimo usiłowań autora, nie temat niemiectwa panuje w sztuce, ale temat lekkomyślnej pychy i zwierzęcej rozrzutności. Jedynym piętnem niemieckim na tych czołach polskich jest pokrewieństwo z rzeczywistym już Niemcem, bratem milionowego papy nieboszczyka, którego synalek i zięć *post mortem* drzwiami i oknami wyrzucają pieniądze w świat, aby skończyć może w zupełnej ruinie. Ten p. Krzysztof Wiese, ze swoim synem Gottliebem jest istotnym już przedstawicielem niemieckości, zaczynającej u nas z pięcioma palcami, a kończącej na bogactwach. I on jednak w sztuce zbyt mało miejsca zajmuje, aby mógł rzeczywisty temat Friebego zwrócić w innym kierunku. Ci Niemcy p. Zalewskiego sprawiają na nas takie wrażenie, jak gdyby byli gwałtownie, jakąś prassą hydrauliczną w sztukę wtłoczeni. P. Krzysztof Wiese, rzeczywisty już Niemiec, mógł pozostać, tak, jak jest, postacią uboczną, do uzupełnienia artystycznego akcyi powołaną, a sztuka nie-by na tem nie straciła; możnaby tak samo przedstawić rozrzutność, a na kanwie tej zakrzyżkować grę psychologiczną. W każdym razie

p. Krzysztof, ze swoim synem nie jest banalnym Niemcem, ale ma zarys oryginalny; wypłyby może kilka kufelków uroczystego piwa w 70-ą rocznicę urodzin p. Bismarcka, ale nie broni synowi ciążyć ku owemu wielkiemu środkowi, który ku sobie i milionerską gałąź Wiesów już był pociągnął; jest uczciwym i czuć w nim pewną dobroćliwość, która jednak nie ma siły do odrzucenia jego serca na najłżejsze nawet realne współczucie, na najbłahszą ofiarę. Jest sobie ten Niemiec pracowity, oszczędny, trzeźwy zawsze, ale i zawsze chciwy.

Pozostając przy tem, co w sztuce rzeczywiście jest i nie pytając o to, co być miało lub mogło, bierzemy ją jako istotę własnym obdarzoną rozumem i głosem i zobowiązana wytłomaczyć się z tego tylko, co w niej samej jest złożone. Zrobiono Friebeemu zasłużoną czy niezasłużoną sławę sztuki wzorowanej z życia skandalicznego Warszawy. Nie żyjąc w świecie skandalu, nie zajmując się nim wcale, nie o skandaliczności sztuki powiedzieć nie możemy i zostawiamy rozstrzygnięcie tego ważnego niezmiernie zagadnienia biegłym specjalistom. Skala myśli naszej wynosi nas ponad możliwości takich dociekań. Stawiamy sztukę przed sobą tak, jak stawialiśmy zawsze jej poprzedniczki: pociągamy ją do odpowiedzialności estetycznej i społecznej bez względu na genezę i wszelkie postronne okoliczności. Skłonni jesteśmy do mniemania, że autor nie chciał nikogo wzorować, ale przypuszczamy tę możliwość, że niedostateczny jego talent, niezdolność wytworzenia postaci typowych, brak poezji i syntezy w rozumie twórczym — zmusiły go ostatecznie do niedość umiejętnego spożytkowania zasobów zebranych przez trafne czy nietrafne spostrzeżenia w maluczkim życiu naszym. Nie widzimy żadnej rozumnej przyczyny, dla którejby prassa nie miała się Friebeem zajmować, jak to uczyniły niektóre organa tutejsze. Jeżeli milczenie samo miało już być naganą, to dlaczego nie wypowiedziano tej nagany głośno, tak, aby i czytelnik wiedział, jak się sztuka przedstawia, nie w pierwotnym, surowym wrażeniu, ale wobec krytyki, która miała już czas wrażenia przetrwać, a zbierała by odrazu inaczej, niż przeciętny słuchacz, choćby najoświecieńszy.

Friebe nie jest komedią, nie jest też dramatem: jest powieścią usceniczną, która w tej formie wiele bardzo traci; wydany jako tom do czytania, mógłby być lepszym, niż jest dzisiaj, będąc sztuką do oglądania ze sceny. Temat ruiny majątkowej *in actu* byłby lepszym od tematu, w którym ruina już się spełniła i potrzebuje tylko być poznana przez matkę Wiese, synka Wiese i zięcia-łobuza, Henryka Poniewskiego. Ohnet w *Ćudzoziemcu* przedstawił taką właśnie ruinę w postępowym ruchu. Ohnet tak samo, jak p. Zalewski, a raczej p. Zalewski tak samo jak Ohnet, mieszczańskiemu bogatemu pięć się kazał do tak zwanej arystokracji t. j. ku sferze uprzywilejowanego próżniactwa i zbytku; ale inaczej się ta pycha, to próżniactwo, zbytek i marnotrawstwo przedstawia się u autora francuskiego. Tam jest życie i ruch psychologiczny, tam jest prawdziwy dramat z tematu etycznego wysnuty; tu są tylko różne, jedna po drugiej wyskakujące expozycje, w których ludzie grają rolę poruszanych zzewnątrz, a życie ich istotne ucieka do scen i przygód ubocznych, w sposób uwagę od tematu głównego odciągający.

W sztuce jest bardzo wiele osób, ale niema ani jednego wiekszego charakteru; do niczego tu umysł widza nie łągnie, do niczego przywiązać się nie może; wszystko, co właśnie żyć powinno, kręci się tylko, a co mogło się tylko kręcić, żyje. Nie czujemy owej sfery mieszczańskiej, która właśnie miała być bohaterką rzeczywistą sztuki; widzimy za to mnóstwo postaci podrzędnych, mnóstwo scen, które w sztukę wpadają jak muchy w ukrop, nie czyniąc jej przez to ponętniejszą. Krzysztof Wiese ma swoją racją w budowie całości, jako przeciwstawność owych Niemców drugiego rodzaju, tych zruinowanych Wiesów, których charakter niemiecki poznajemy z opowiadań, niejakięgo Żarskiego, pocziwego a podupadłego — pocziwy u nas zwykle upada! — ziemianina szlachcica; taką samą racją mógłby mieć i ów niewidzialny



Friebe z Berlina, Friebe straszny, Friebe okrutny. Ale wszyscy ci panowie Kapustowscy, Rikobsohny, Bubenstoki, Pękalscy, Tuczyteżtamczykiewicz, zajmujący w sztuce dużo miejsca, dużo czasu i słów: są już tylko czystymi dodatkami, do ugarnirowania kurty skrojonej dla Wiesów służącymi, i kurta mogła się doskonale bez nich obyć. Do czego się więc sprowadza właściwa akcja sztuki p. Zalewskiego? Do szeregu charakterystyk, które mogą mieć w sobie prawdę obyczajów i wartość satyryczną, ale nie mają jednego przymiotu, kardynalnego we wszelkiej sztuce: nie chowają się za głównych działaczy, lecz przeciwnie, łokciami torują sobie przez nich drogę do widza, aby jego poklask za śmieszność swoje otrzymać. Autor chciał w ten sposób łatwy zabawić publiczność, która ze skromnej racji dramatyczności w przegodzie głównej wyżyć-by nie mogła i wyjśćby musiała z teatru głodną, straszliwie głodną. Bo pomyślmy tylko, że jedynym istotnie dramatycznym i udratyzowanym motywem jest stosunek wietrzni, pani de Vaugars, do nikczemnika Poniewskiego; jeżeli kto poza tem znajdzie jaką rzetelną dramatyczność, jakkolwiek głębszą, własną siłą zajmujący, ruch dusz, temperamentów i charakterów we *Frieby*, zazdrościć mu będziemy bystrości, ale niełatwo uwierzimy w odkrycie.

To, co się dzieje pomiędzy przebiegłą specjalistką a obojgiem małżonkami, jest prawdziwie zajmujące, ale też i mocno skandaliczne, cynicznie szczerze. Już-to zgorszenia słuchacza autor nie lękał się wcale. W sztuce występuje niejaki pan hr. Tołubski, który ma służyć za uzupełnienie reprezentacji sfer arystokratycznych, a zajmuje się pospolicie, blade, mdło i niezręcznie odmalowaniem rozbójnictwem salonowym, skierowaniem na Katarzynę Wiese, żonę Poniewskiego, a córkę mamy Wiese. Otóż opowiadanie, które autor kładzie w usta temu hrabiemu w akcie I, tak jest śmiałe, iż nie pamiętamy, czy na podobną śmiałość odważyło się dotąd nasze komedyo-pisarstwo nowoczesne.

Pani Wiese daremnie nam zaręcza, że kiedyś pracowała i oszczędzała razem z mężem i każdego grosza żałowała sobie, aby tylko nakoniec wypłynąć na wierzch, na te już poziomy, na których ma się być niepodległy i coś więcej nad byt, bo zadowolenie, środki i urok bogactwa; daremnie pocziwy radca Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego, Żarski, pośrednio to jej mniemanie o sobie potwierdza: nie uwierzmy ani samej pani Wiese, ani kochanemu radcy, którego tylko do serca przyłóż, tak jest pocziwy, prawy i szlachetny. Gdyby pani Wiese istotnie przeszła była choćby dwudziesto-letnią szkołę oszczędności za życia męża, to cała jej pycha, wydzierająca się do tak zwanej arystokracji, z reprezentantem jej Poniewskim, nie zdołałaby w niej stłumić instynktu zachowawczego, szacunku dla liczb, a ostatecznie i miłości grosza. To nagle zaskoczenie pani Wiese przez ruinę, którą ona jako współwłaścicielka i dożywotniczka, miała w każdej chwili sposobność wykryć w księgach przedsiębiorstwa, jest nieprawdziwym; w przeciwnym razie to, cośmy o niej z jej własnych ust słyszeli o przeszłości, nie zasługują na wiarę. Jedno z dwójga: albo mama Wiese miała zawsze skłonność do zbytku i tolerowania go; albo też przewróciło się jej tak gwałtownie w głowie, gdy się ujrzała już bogatą, że z tego przewrotu wyszła już nowa zupełnie istota. Lecz w takim razie zkad znowu to skupienie i ta energia ducha i ta pokuta po złem i to silne a skuteczne już w części pragnienie dobra t. j. chęć wydobyć się z ruiny? Pani Wiese tedy nie jest zbudowana logicznie, a toż samo powiedzieć potrzeba o ustosunkowaniu jej do własnego jej przedsiębiorstwa. Zaczyna p. Żarski nie był wcale potrzebnym na pośrednika do Dobka, bo pani Rozalia Wiese miała prawo każdej chwili wezwać kassjera, czy rachunkowca, do siebie, zejść na grunt, złożyć radę, wytoczyć proces, zrobić, jednym słowem, piekło, niepotrzebując trwożliwie podkładać się pod swą własność. Rozmowa Żarskiego z Dobkiem, niepotrzebna dla sztuki, była potrzebną dla autora, bo pozwoliła mu wyjechać z zasadami demokratycznymi, bardzo z początku nawet pieprzonymi, przez usta

Dobka, który ma jednak więcej na ustach niż w sercu, i z najeżonego demokraty staje się na powrót potulnym a gorliwym buchhalterem odradzanej usilnie firmy Wiese. Bez obu tych panów, przy ich dramatyczności, sztuka doskonale obyćby się mogła.

Cóż więc zostaje? Rodzina Wiese; ale czy są w niej charaktery? Może Katarzyna? może Fryderyka, pocziwe cielatko? Może nagle, niespodziewanie, jak pajac, wyskakujący ze szlachetniejszymi popędami swej duszy, wyszarzany, sterany, złachmaniony p. Aloizy Wiese? A może i sama pani Rozalia—matka?

Tu znowu przypomina nam się *Cudzoziemiec*,—a przypomnieć się musi ze względu na tematyczne pokrewieństwo i na kunszt francuzki sztuk p. Zalewskiego. Spójrzmy tylko na teściową owego Cudzoziemca, a na teściową p. Henryka Poniewskiego. Co za różnica! W tamtej żyje mieszcza prawdziwa, ocknięta ze swej niemocy moralnej, wywołanej również przez próżność i chęć wprowadzenia dziecka w świat, który wiekuiście głupota ludzka wyższym nazywać będzie; żyje kobieta i matka ratująca dziecię; żyje dusza mszcząca się i wymierzająca sprawiedliwość na nikczemniku. W tamtej jest prawdziwa ciągłość istoty i zasobność wewnętrzna, w jednolitość samowiedzy ujęta; jest żądza, wola, dążność; jest więc i dramatyczność. A tu? P. Rozalia Wiese jest już od początku złamana, spaczona; nie toczy się w danym kierunku swego charakteru, bo charakteru właściwie nie ma. Rzeczywiście silną, prawdziwą, ale nieprzynoszącą nic do głównego tematu, jest pani de Vaugars, jest i Henryk Poniewski, choć w niższym stopniu, bo jego bezczelność, okazana wobec teściowej w akcie III i jego niegodziwe oszukiwanie wierzycieli w akcie IV, niedobrze się malują w początkowych jego przejawach. Na tem właśnie polega doskonałość charakterów w sztuce, żeby w momencie każdym poprzednim były złożone już ziarna wszystkich następnych, a to, co ma być *in actu*, tkwiło ciągle *in potentia*. Od tego jest romans, są papiernie i drukarnie, żeby na mniejszej lub większej liczbie arkuszy druk przedstawień przedzierać się, poprawianie lub psucie bohaterów i bohatererek: dramat operować musi gotowymi już, skończonymi siłami. Można przeprowadzać charaktery z położenia w położenie, z pod rozkosznego nieba Wysp Karolińskich, przerzucać pod Biegun, wtrącać do nor i jaskiń podziemnych—ale zmieniać ich nie wolno. Charakter, mdły czy silny w swej treści etycznej, musi być zawsze silnym w swej treści estetycznej: siła tylko w sztuce dramatycznej panuje, a z charakterów tylko rodzi się jej życie; nie zna ono innego łona, innego poczęcia. Nie pierwszy raz już wytykamy panu Zalewskiemu ten kardynalny grzech jego sztuk, że dodatkowe rzeczy pieścić lubi, a główne zaniedbuje i mniej dba o ludzi, niż o efekta sceniczne i efektowne sceny.

Nad takim Tołubskim, nad takim Tuczyteżtamczykiewiczem, zastanawiać się nawet nie potrzeba: pierwszego najważniejszą jeśli nie jedyną, funkcją jest opowiedzenie owego wypadku, rozweselającego niezmiernie niższe warstwy paradyżu; drugi tłucze się ciągle, jak kobiałka za wozem, bez żadnej istotnej łączności ze sztuką, gra rolę główną na jakichś kolacyach i w jakichś klubach, ale tych kolacyjek i klubów nie widzimy na scenie—chwała Bogu!—tak, iż pieczeniarsowi zostaje wobec widza ciągle tylko ofiarowywanie likierów, win i cygar—w sposób tak wstrętny, a tak nieprawdopodobny, że dziwić się tylko potrzeba: jakim sposobem p. Zalewski, pisarz tak już wytrawny, bo autor tylu komedii, mógł taką czczą karykaturę do sztuki wprowadzić? Systemat obstawiania ubożuchnej akcji głównej mnóstwem scen charakterystycznych popchnął autora do urządzania teatru amatorskiego w akcie III, bez żadnego zgola celu, tylko chyba dla uraczenia widzów śpiewem panny Manowskiej, a ukazania owego pieczeniarsa w roli suflera. Ciągła ekspozycja, ale bez głębszej, żrącej satyry. Nie wielką też racją ma pojedynek obu szwagrów, udaremniony przez ucieczkę Poniewskiego.

Powiemy krótko: co jest w sztuce dobrego, to nie dotyka głównego jej założenia, a co do głównego założenia należy, jest absolutnie chybione.

Dobek wprowadzony tylko dla zjednania *Friebe* mu sympatii i uwydatnienia w nim pewnej dążności społecznej, jakiej sztuka wcale niema. Żarski służy za klucz do upustów demokratyzmu dobrowskiego. Piękne, dodatnie rysy: pani Wiese, wskazującej córce obowiązek udania się za mężem; pana Radcy, stawiającego Krzysztofowi Wiese ideał szlachetnej godności przeciwko jego ideałowi ścisłej rachunkowości; Aloizego Wiese, rozprawiającego się z Poniewskim; i wreszcie jego siostry Katarzyny, zdradzanej przez męża, dla owej wietrzni — wszystkie te rysy roztopiają się w ogólnej, bezcharakterności utworu, któremu braku *ludzi*, braku architektoniki i rzeźby dramatycznej nie wynagrodzą ani te smugi świetne, ani zasady sympatyczne, ani wreszcie styl potoczysty i język poprawny i zupełnie zadawalniający.

Artyści grali dobrze. Należy im się za to od autora szczere podziękowanie; przy gorszej bowiem grze sztuka nie znalazłaby u publiczności tego uznania, jakiego jej zaprzeczyć nie można, mimo to, że ze stanowiska krytyki, nikt nie nazwie jej dobrą, rozumnie i artystycznie wytworzoną. Czytelnik nie wymaga od nas zapewne takiej szczegółowości, żebyśmy nawet aż o grze p. Manowskiej (Rikobsohnowej) mówić potrzebowali; wspomniemy tylko o główniejszych. Pierwszeństwo należy się p. Lüdowej jako pani de Vaugars; scena z Poniewskim w II akcie wyszła tak, że gdy ten tolerowany złodziej, który dobrał się był do majątku Wiesów, wyrzuca sobie swą głupotę, mimowoli przyświadcza się mu: „Prawda, żeś głupi!” — tak świetnie pani Lüdowa umie wodzić go za nos. Znakomitą też była pani de Vaugars w akcie IV w rozprawie z Katarzyną, żoną Poniewskiego, kiedy ją nazywa pogardliwie „gesią“, sama czując się dumnie jastrzębiem. Nadszpiezanie ujrzelśmy dobrego Dobka w panu Kotarbińskim. Artysta w tej nie-salonowej i nie-koturnowej roli utracił swą sztywność, ożywił się, zapalił; ostre, szorstkie reby jego sztuki pozaokrągląły się, głos nabrał głębokości, o którą mu zawsze najtrudniej. Cieszylibyśmy się, gdyby ta zmiana na dobre była już stałą, gdyby wynikała z nowych studyów lub nowego rozwoju zdolności artystycznych, przebojem wydobywających się na jaw. Pani Rakiewiczowej nie trudno było być dobrą Rozalią Wiese; ale co się stało z jej dawnym artyzmem! Patrząc na nią dziś, przypomnieliśmy ją sobie, jaką była przed laty w *Lektorce*—*quantum mutata!* Małość życia, powszedniość stosunków i wrażeń, warunki bytowe, wręcz przeciwstawiające się sztuce — zmarnowały ten ogromny, ale surowym obowiązkiem dalszego rozwoju obciążony talent, jakim rozporządzała błogosławiona młodość artystki. Pan Prażmowski, jako hrabia Tołubski, opowiadał dobrze w akcie I, a to cała jego rola; nic z niej nie zrobił, bo i sam autor nie zrobić nie chciał. Wyobrażamy sobie lepszego Poniewskiego od tego, jakiego nam ukazał pan Ładnowski, ale i ten, który jest, wystarcza. I tu również było mniej syczenia a więcej życia, niż zwykle. P. Ostrowski umiał się jako Krzysztof Wiese miarkować, uwolnił widza od widoku karykatury i dał przyzwoitego Niemca, dorabiającego się majątku. Nawet okazała gra p. Leszczyńskiego nie mogła ocalić Tuczyteżtamczykiewicza od czczości. Komizm tej osobistości ostatecznie osiadł tylko w jej nazwisku, które sięga dalej niż charakter: miał to być człowiek, któremu wszędzie dobrze; jest tylko pieczeniarsz i spekulant najniegrzeczniejszy pod słońcem.

Stanisław Krzemiński.

## Kronika działalności kobiecej.

— Maryanna Ziemba, włościanka ze wsi Modrzewia, w Powiecie Opoczyńskim, utkała piękny, ciepły szal z farbowanej wełny i lnu, mogący zupełnie zastąpić ciepłe chustki, jakie się w kramach okolicznych miasteczek sprzedają. Szal



został przez jego właścicielkę złożony w redakcy *Gazety Radomskiej*, gdzie dla obejrzenia go pozostaje. Maryanna Ziemia miała przytem na sobie suknię, złożoną w jednej całości ze spódnicy i stanika, na którą materyał bardzo szlachetnego smaku „biały, połyskujący“, utkany ze lnu i bawełny w drobne paski, został też przez nią samą wyrobiony. Na utkanie podobnej sukni potrzebuje Maryanna Ziemia pięciu tygodni czasu, zapewne przy innej pracy gospodarskiej, i cenę jej oznaczyła na 10 rs., oświadczając, że na wystawę warszawską chętnie by taką drugą wykonała i pojechała z nią do Warszawy, gdyby kosztą drogi miała sobie zapewnione. Byłoby taniej i praktyczniej, gdyby ten okaz wiejskiego przemysłu został przesłany na wystawę, jak inne podobne mu, na ręce komitetu wystawy, ale jest tu jeszcze i wzgląd inny. Maryanna Ziemia w zamieszkiwanej przez siebie okolicy wyrobami swemi tak celuje, że wedle tego, co odpowiadają w redakcy „*Gazety Radomskiej*“, zapytywana o stan przemysłu domowego w stronach swoich, inne kobiety, jej sąsiadki „przychodzą do niej po modę“. To zaś, że pomimo ogólnie między wieśniakami rozwiniętego zmysłu praktyczności, suknię swoją, przez rodzaj wyrobu już cięższą i mniej łatwą do prania, utkała z przędzy białej, powodowana pewną wykwintnością smaku i pożądaniami estetycznymi, już ją czyni osobistością do niejakiemu stopnia wyjątkową i wpływową w kole swoim. Byłoby zatem dobrze, aby wystawę mogła zwiedzić i wyroby tkackie tam zebrane obejrzyć, bo wróciwszy do domu z pomysłami nowymi, z rozszerzeniem poczuciem smaku, mogłaby swój tkacki przemysł wyżej podnieść i dać ku temu pożyteczny impuls okolicy. Podobne do jej wyrobów samodzielne, zwane *wełniakami*, są rozpowszechnione w całej polaci rodzinnych jej stron; w Radomskim, koło Białobrzegów, tkają je ogólnie także w paski lub prążki, ale zawsze tylko z szafirowej, w domu farbowanej wełny i białej bawełny albo lnu; dalej nieco, za Pilicą, już wełna bywa farbowana czerwono, zielono, i wełniaki urozmaicają się wedle gustu przyjętego w okolicy. Przecież domowy ten przemysł zostaje coraz więcej przez towar miasteczkowy wypychany z wielką szkodą, nie tylko materialnej straty wsi naszych, ale i moralności, która cierpi, gdy dobre zajęcie czasu długich wieczorów zimowych kobietom się usuwa. Obowiązek to jest pań ze dworu, aby tak nie było, — obowiązek który przecież musi być podparty w ich umysłach przez zrozumienie umoralniających wpływów pracy w zasadzie, która wszystkie stany ogarnia i do wszystkich bez wyjątku się stosuje.

— P. Emilia Korsakowa, zamieszkała w Witebskiem, we wsi Anińsk, powiadamia nas łaskawie o przemyśle domowego tkactwa, który od lat pięciu z pożytkiem nie tylko zysku materialnego, ale, dodać trzeba, i zasługi obywatelskiej szczęśliwie prowadzi. Powodowana pocziwą myślą, że „może której ze współobywaterek da to chęć próbowania czegoś podobnego“, zaczęła ta pani pisać do redakcy naszej: — „Od lat pięciu zaczęłam tkąć w domu wyroby czysto wełniane, a mianowicie: korthy na ubrania, burki męskie, płaszczyki i paltoty pań. Używam do tego wełny z owiec zwanych ezelskimi, to jest pochodzących z wyspy Oesel, jedynych, jakie mogą znieść tutejszy klimat i nizkie, często mokre pastwiska; mieszkam bowiem w Powiecie Siewierskim, zatem zupełnie na kresach. Owce te strzygą się trzy razy na rok, z tych trzech strzyży sztuka jedna daje około trzy i pół funta wełny. Oprócz własnej wełny, skupuję okoliczną. Część jej przędę w domu z memi kobietami; część, dla prędzej roboty, muszę oddawać do przedziału mechanicznej, do-

pókaż nie zdobędę się na kupienie czesalni i przedziału. Następnie układ i dobór kolorów, zawsze tylko naturalnych, bez farbowania, kręcenie, tkanie odbywa się w domu pod moim dozorem.

„Rezultaty okazały się takie, że rocznie mogę wytknąć nie więcej nad 700 metrów, a koszt tego jest następujący: wełna funt zł. 3 gr. 10.; czesanie i przedzenie zł. 2 gr. 10 od funta; ubytek wełny przy tych wszystkich czynnościach wynosi około 20 gr. na funcie. Utkanie jednego metra kosztuje 29 gr.; funt zaś daje mniej więcej  $\frac{7}{8}$  metra zwykłego męskiego kortu. Summa kosztu wyrobu 1 funta wełny jest zł. 7 gr. 5. Z tego mam  $\frac{7}{8}$  metra kortu szerokiego na  $\frac{1}{10}$  metra, sprzedaję go po zł. 9 gr. 20, co przynosi czystego zysku zł. 2 gr. 15. Nie liczę tu, że swoją wełnę wkładam darmo, gdyż w zamian za nią męża i dzieci darmo odziewam memi wyrobami, a często na „gwiadkę“ i całą służbę niemi obdarzam. Popyt na moje korthy mam tak wielki, że w księżce zamówień jest zawsze zapisanych jakie paręset metrów. Ceną je jako niezmiernie trwałe i niefarbowane, bo kolor tej wełny ma różne ładne odcienie, od czysto brązowej do siwo-dymnej. Pieniężny rezultat przeciętny z trzech lat ostatnich, dawał mi rocznie czystego zysku 421 rs. i coś groszy.

„Nie jest to nie wielkiego, ale dość, aby opłacić moję i dzieci garderobę, która przez to męża mego nic nie kosztuje. Żartem i zarazem *serio* zapowiadam mu, że zbiorę z mego wełnianego przemysłu tyle, aby opłacić wyprawę naszej małej córeczki, a w dodatku mam prawdziwą przyjemność i miłe zajęcie, bardzo wdzięczne, bo nie przeszkadzające gospodarstwu domowemu i uczeniu dzieci. Za korthy moje otrzymałam w Warszawie na wystawie tkackiej w 1880 roku list pochwalny; w Witebsku w 1883 r. medal srebrny. Dwie sąsiadki moje już się zaczęły zajmować tysamym przemysłem, z równie dobrym skutkiem. Sprzedają ich wyrobów ja się zajmuję“.

— Wystawa ogrodnicza, dotykająca jednego z najważniejszych działów pracy kobiecej, ogłosiła swój programmat, już zatwierdzony przez władzę, a zawierający grup siedm: I) grupę naukową, II) modele i rysunki, III) rośliny ozdobne, IV) produkta sadownictwa, V) produkta warzywne, VI) nasiona, VII) grupę techniczną. Grupa naukowa zawiera: dzieła drukowane z zakresu nauk przyrodniczych stosowanych w ogólności, a w ogrodnictwie w szczególności, zbiory i okazy przyrodnicze, zielniki, zbiory dendrologiczne i karpologiczne, zbiory minerałów, skał i gatunków ziemi, nawozy sztuczne, okazy sztucznej kultury dla wykazania wpływu czynników fizycznych na życie roślin, oraz zbiory szkodników zwierzęcych i okazy chorób roślinnych. Grupa druga mieści m. plany parków z objaśnieniem, plany kwietników, oraz okazy rysunku i malarstwa w związku z ogrodnictwem. Grupa trzecia, rośliny ozdobne, zawiera m. szczególnie rośliny szklanicowe ze zwróceniem uwagi na nowe odmiany roślin kwiatowych, oraz na rośliny nowe, sprowadzone z zagranicy od czasu ogólnej wystawy ogrodniczej w Warszawie w 1881 roku. Dalej rośliny: pokojowe i ozdobne gruntowe, kwiaty obcięte, bukiety, wiązanki i inne ozdoby z kwiatów zarówno świeżych jak i suszonych. Grupa czwarta: sadownictwo i jego produkta, a więc opisy sadów, tak należących do właścicieli większej własności, jak i ogrodników, plebanów, nauczycieli wiejskich, włościan; opisy szkółek drzew owocowych, ulepszone sposoby lub wynalazek, ułatwiający hodowlę drzew i krzewów owocowych, lub ochraniający je od klęsk i szkodników, oraz zbiory owoców, konserwów, konfitur i

soków. Grupa piąta: warzywa i rośliny ogrodowe używane jako przyprawy kuchenne, oraz zioła lekarskie do użytku domowego, rośliny lekarskie i miododajne, a nadto warzywa w konserwach, suszone i prasowane. Grupa szósta zawiera nasiona warzyw, kwiatów, drzew i krzewów, w kraju zebrane. Grupa siódma dzieli się na trzy działy: pierwszym jest dział budowlany, to jest modele, rysunki i projekta budynków ogrodniczych i szklarni z dodatkiem sposobu ich ogrzewania i przewietrzania, stałe i przenośne ogrodzenia kłębów i ogrodów, meble i sprzęty ogrodnicze, oraz wszelkie ozdoby ogrodów. Dział drugi, hydrauliczny, obejmuje przyrządy do nawodniania i odwodniania ogrodów; dział trzeci, mechaniczny, mieści narzędzia ogrodnicze i przyrządy do zbierania i suszenia owoców. Programmat ten zawiera główne rysy wystawy ogrodniczej; bliższych szczegółów zasięgnąć można w *Towarzystwie ogrodniczym* przy ulicy Chmielnej Nr 8. Odsyłając tam przyszłych wystawców po wiadomości zupełniejsze, komitet wystawy dodaje, że deklaracje powinny być nadesłane najpóźniej do d. 1 Lipca, a przedmioty zadeklarowane do d. 4 Września, to jest w przeddzień wystawy. Deklaracje z prowincyi powinny być, co do wiarogodności swej, poświadczone przez trzech najbliższych sąsiadów. Dostawa przedmiotów i przewóz ich powrotny należą do wystawców.

— Wiadomość podana na zasadzie listu z Włoch, jakoby piękny posąg Chrystusa, nabyty przez pannę Julię Jabłonowską w Rzymie u rzeźbiarza Brodzkiego, był przeznaczony do jednego z kościołów paryskich, okazała się niedokładną. Pani Seweryna Duchńska donosi nam z Paryża, że wykonany obecnie, był on przed czterema jeszcze laty zamówionym dla parafialnego kościoła w Bystrzycy, gdzie Chrystus wyciągnie błogosławiającą swą rękę nad naszym ubogim ludem. Brodzki wiedział zaraz, gdzie utwór jego pomieszczonym zostanie, zażądał nawet rysunku Kościoła Bystrzyckiego, aby harmonia pomiędzy dziełem a jego otoczeniem mogła zostać utrzymana, a szczególnie, aby wiedział jak światło padać będzie na posąg.

## OD WYDAWCY.

Do dzisiejszego numeru „*Bluszczu*“ dołączają się dwa dodatki, obejmujące:

### Wzory ubiorów, robót

a należące do poprzedniego i do dzisiejszego numeru.

Do dzisiejszego numeru *Bluszczu* dołącza się arkusz 6-ty powieści pod tyt.: *Sieroca dola*, przez autorkę powieści *Silny duch*.

**TREŚĆ.** Joanna Neybaurowa, biografia) przez M. Ilnicką. — Świat duchów, poezya, przez L. Sowińskiego. — Pogawędka. — Dobry przykład, (dokończenie), przez Maryę Ilnicką. — Czeczotka, Powieść z dawnych czasów, (dalszy ciąg), przez P. J. Bykowskiego. — Przegląd teatralny, przez St. Krzemińskiego. — Kronika działalności kobiecej.

**Dodatek** obejmuje: Arkusz 6-ty powieści pod tytułem: *Sieroca dola*, przez autorkę „*Silny duch*“. — 32 wzorów ubiorów i robót wraz z opisem. — Sekreta gospodarskie. — Dyspozycyą stołu.

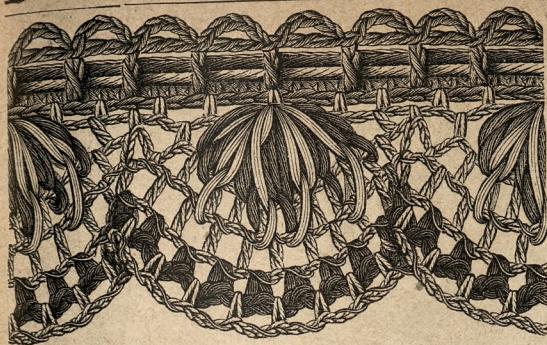
Warszawa. — Druk S. Orgelbranda Synów, ulica Bednarska Nr 20

Redaktor odpowiedzialny Michał Glücksberg.

Дозволено Цензурою.

Варшава, 17 Апрель 1885 года.





Nr 2. Koronka robotą szydełkową do ryc. 6 w Blu Nr 16. Wielkość naturalna.

### Kapelusz koronkowy.

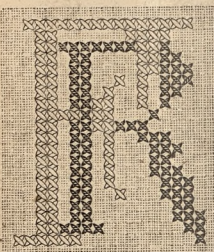
Rycina Nr 2 w Blu. Nr 16

Główka tej kapotki i przecięte z przodu rondko, obciągnięte są z wierzchu i ze spodu gładko czarnym atłasem, oraz rondko oszyte podłużnymi dzietowymi perełkami. Główka z tyłu pokryta koronką ze złota i szneli, ufałdowaną i naszytą cztery razy jeden nad drugim; takąż koronką otoczone jest rondko z przodu tak, aby brzeg jego był widoczny; przybrania dopełnia duża kokarda z podwójnie złożo-

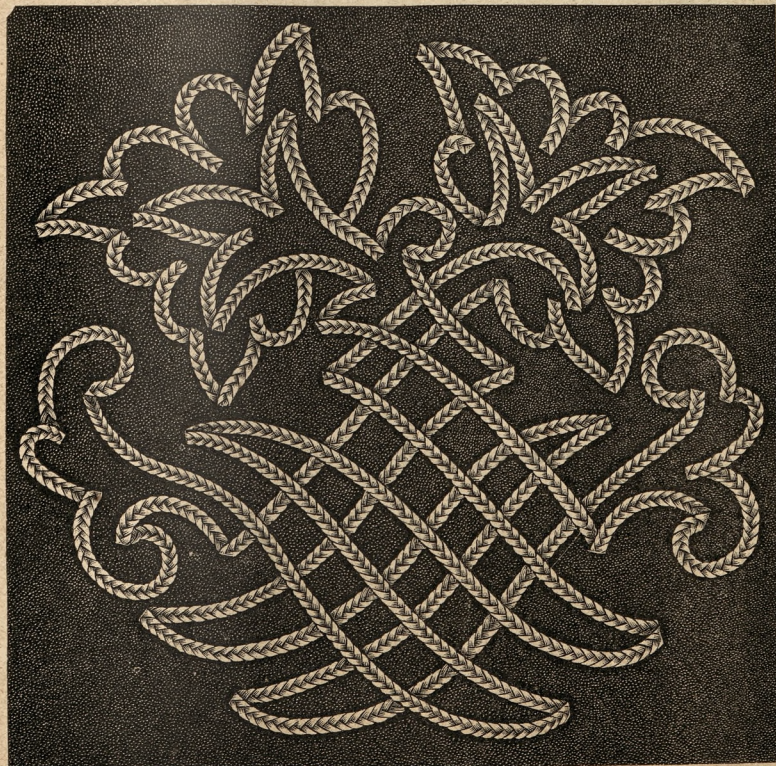


Nr 4. Okrycie z repsu „ottoman“. Plecy. (Do ryc. 20).

nego skośnego repsu „ottoman“ przypięta z przodu, oraz żółta róża z pączkami i ciemno-zielonymi liśćmi, przypięta z lewej strony więcej do tyłu. Do wiązania służą 6 cent. szerokie wstążki „reps-ottoman“.



Nr 7. Znak do bielizny.



Nr 9. Wzór na szlak łańcuszkowym haftem.

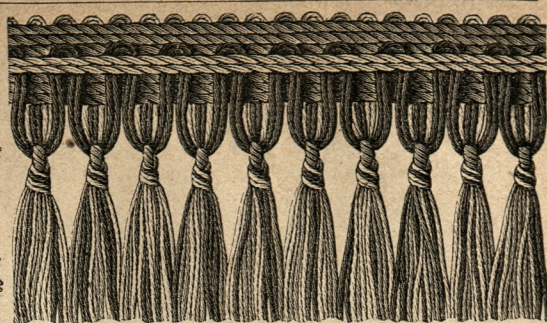


Nr 1. Poduszka haftowana na kanapę (Do ryc. 10 i 32).

### Kapotka z jedwabnej materyi i pletni.

Rycina Nr 3 w Bl. Nr 16.

Rondko tej kapotki wygięte z przodu podług ryciny, zrobione jest ze sztywnego tiulu, podszyte gładko jasną jedwabną podszewką i pokryte brązową pletnią przerabianą złotem. Główka pokryta materyą, która z przodu ułożona w dwie podwójne kontrafałdy, a z przodu upięta bufiasto. Połączenie spięcia główki i rondka, przykryte skośną, suto ufałdowaną materyą. Na bokach



Nr 3. Frendzla do serwet i t. p. Zmniejszona.

aksamitu. Wysokie wachlarzowe upięcie z aksamitu, przepięte brązową agra-fką, dwa duże strusie pióra spadające na tył, oraz egretka ze strusich i czaplich piórek, bladzielonego i kremowego koloru, stanowią przybranie kapelusza.

### Kapelusz z tiulu.

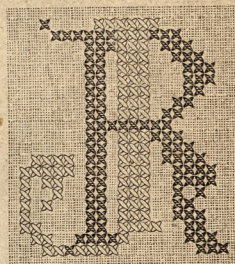
Rycina Nr 5 w Bl. Nr 16

Czarny petynetowy fasonik tego kapelusza, składa się z główki i potrójnego rondka. Każde rondko kilkakrotnie pokrywa tiulem, ostatnie pokrycie tiulowe powinno być za haftowane drobnymi perełkami, a brzeg



Nr 5. Okrycie z repsu „ottoman“. Plecy. (Do ryc. 21).

każdego oszywa dużymi perełkami. Główka pokryta bufiastą także za haftowanym tiulem, z tyłu ściągnięta 6 cent. szeroką czarną wstążką, która służy do wiązania. Egretka z piór i kokardy zdobia kapelusz.



Nr 8. Znak do bielizny.



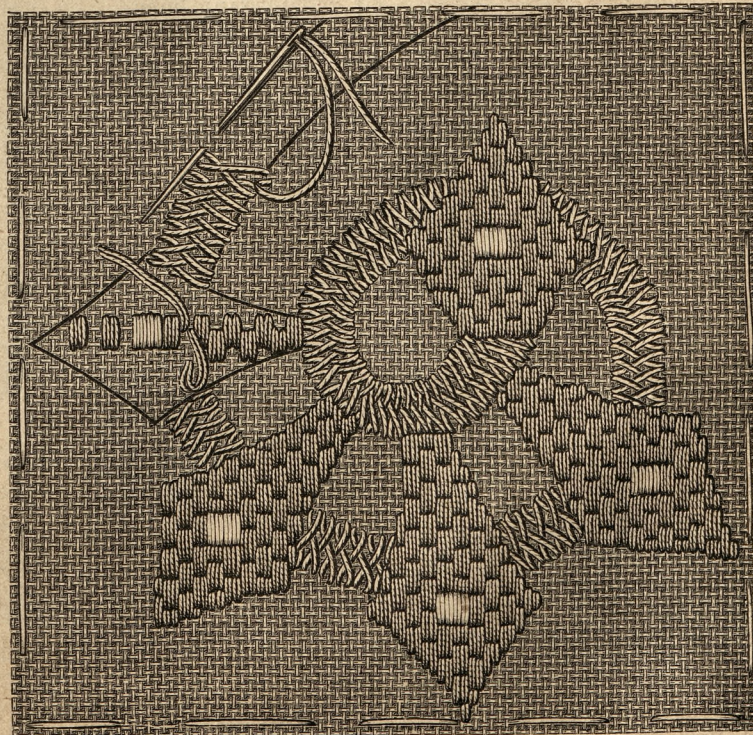
Nr 6. Szlak do ryc. 10 w Bl. Nr 16.

i z tyłu rondka naszyta dwa razy pletnią; przybrania dopełniają dwie brązowe spiki, bukiet z ciemno-zielonych i żółtawych liści, oraz pęczki pukli z ciemno-oliwkowej aksamitki. Takież aksamitne wstążki służą do wiązania kapotki pod brodę.

### Kapelusz z angielskiej słomki.

Rycina Nr 4 w Blu Nr 16

Kapelusz z czarnej angielskiej słomki, ma główkę wysoką, trochę spiczastą i rondko z przodu szersze, podszyte gładko czarnym aksamitem i objęte rulonikiem z takiegoż



Nr 10. Wykonanie haftu na poduszkę ryc. 1.



## Poduszka do oparcia głowy.

Rycina Nr 1, 10, i 32.

Poduszka pokryta ałtasem miedzianego koloru, a przybrana haftem srebrnymi i złotymi nićmi, ufałdowana i naszyta wężym koronką, kokardami i puklami z ałtasewej wstążki miedzianego koloru. Zeszycie jednej i drugiej strony pokrycia, zakryte złotym sznurem z supłami, zrobionymi w równych odstępach. Po przeniesieniu deseni, którego czwartą część przedstawia ryc. 32 w naturalnej wielkości, na niepodzielną zwyczajną kanwę, przyfastrzygować ją na ałtas podłożony podszewką i haftować podług ryciny 10 złotymi i srebrnymi nićmi; przy wykonaniu płaskiego haftu, bierze się nitkę kilkakrotnie złożoną; haft ścięgiem krzyżowym robi się złotymi nićmi, a muszki złotymi i srebrnymi jednocześnie. Po wykończeniu haftu należy nitki kanwy wyciągnąć.

## Frendzla do serwet, kołder lub t. p.

Rycina Nr 3.

Torsadka do tej frendli robi się na niepodzielnej kanwie, dwoma cieniami oliwkowej włóczki; zaczyna się od prawej strony i robi wlewo ciemniejszym cieniem 1 ścięg przez 3 nitki kanwy na lewo i przez 1 nitkę do góry, robić tak ścięg przy ścięgu, postępując tylko o jedną nitkę kanwy. Następne 7 rzędów robią się w takiż sposób; 2, 3, 6 do 8 rząd ciemniejszym cieniem, a 4 i 5 jaśniejszym. Po wykończeniu



Nr 18. Suknia z wełnianego materiału. Przód. (Do ryc. 26 w Blu. Nr 16) Krój i opis odwr. str. tabl. V. fig. 30-41.

podwinąć wystające brzegi kanwy na lewą stronę, przyszyć je i po-

przeciągać raz przy razie ścięgami szytymi na kanwie 16 cent. długie nitki włóczki w następującym porządku: 3 oliwkowe 1 białą, 1 kremową i 1 pasową; przez 2 środkowe rzędy haftowane na kanwie, przeciąga się podwójnie złożone nitki, ciemnopasowej włóczki. Następnie końce wiążą się w kwadry, robiąc 6 oliwkowymi końcami zadziergany supełek, a 10 końców z pasowej kremowej i białej włóczki, a potem temi 10 końcami o 6 oliwkowych.

## Okrycie z repsu „ottoman“.

Rycina Nr 4 i 20.

Okrycie zrobione z czarnego repsu „ottoman“ na lekko watomowanej pasowej podszezwce z satin-merveilleux; przybranie stanowią ranwersy z czarnego aksamitu, hiszpańska koronka 8, 12 i 16 cent. szeroka, ufałdowana lub przewinięta wężykowo, pasmanteryje, 5 cent. szeroka frendzla z perełek i frendzla ze szneli i złotej plecionki, zakończona grełotkami. Stojący kołnierzyk, przybrany 6 cent. szeroką koronką, naszyta wężykowato, dopełnia okrycia.

## Modne uczesanie włosów.

Rycina Nr 11.

Po rozdzieleniu włosów na przednie i tylne, te ostatnie podczesują się do góry i związują jak można najwyżej i najmocniej, następnie przypina się podług ryciny du-



Nr 12. Kapelus. słomkowy. Przód. (Do ryc. 13).



Nr 14. Kapelusik dla dziewczynki od 2 do 4 lat. Tył. (Do ryc. 36 w Bl. Nr 16).



Nr 16. Sukienka dla panienki od 11 do 13 lat. Plecy. (Do ryc. 26).



Nr 25. Sukienka dla panienki od 10 do 12 lat. Plecy. (Do ryc. 17). Krój i opis odwr. str. tabl. Nr VI, fig. 42-50.



Nr 20. Okrycie z repsu „ottoman“. Przód. (Do ryc. 4).



Nr 22. Sukienka dla panienki od 9 do 11 lat. Krój i opis pier. str. tabl. Nr IV, fig. 24-29.

Nr 23. Sukienka dla dziewczynki od 4 lat. Przód. (Do ryc. 30 w str. tabl. Nr V, fig. 25-29).





Mozesanie włosów.



Nr 13. Kapelusz słomkowy. Tył (Do ryc. 12).



Nr 17. Suknia dla panienki od 10 do 12 lat. Przód. (Do ryc. 25).



Nr 15. Kapelusik dla dziewczynki od 1 do 4 lat.

ży fałszywy warkocz; przednia część włosów z lekka skarbowanych zczesuje się na tył, zwiąją razem z tylnymi włosami i upina się na wierzchu głowy, za pomocą szyldkretowych śpilek, podług ryciny.

### Kapelusz słomkowy.

Rycina Nr 12 i 13.

Z przodu 10, z tyłu 15 cent. wysoka główka tego kapelusza, zrobiona jest z angielskiej słomki jasno-brązowego koloru; rondko podwójne, ze spodu z tejże słomki co główka, a z wierzchu z białego ryżu. Z tyłu brzeg rondka objęty brązową repsową wstążką, której końce służą do wiązania i przybrany dużą kokardą z długich potrójnych pukli, a z przodu bukietem białych róż z pačzkami i liśćmi, oraz podpięciem z takichże róż bez liści.

### Kapelusik dla dziewczynki od 2 do 4 lat.

Rycina Nr 14.

Rondko kapelusika z przodu wysoko podniesione 8½ c. szerokie, na bokach spuszczone i zaledwie 4 cent. szerokie, zrobione z podwójnie złożonego batystu bladego-żółtego, formuje 1 cent. szeroki łepiek, a dalej zmarszczone 4 razy, a każde zmarszczenie przyszywa do drutu.

Na wierzchu rondko pokrywa dwoma



Nr 19. Suknia z wełnianego materiału. Opis pierw. str. tabl.

ma rzędami upliśowana kremowa koronka, a przyszyte drugiego rzędu przykrywa upięciem główki, zrobionej z podwójnie złożonego sztywnego tiulu i pokrytej żółtą satinetą w różnobarwne kwiaty, która się fałduje z przodu, a z tyłu kilka razy przemarszcza, w odstępach 3 c. od brzegu na łepiek; 2½ c. szerokie blade-żółte wstążki służą do wiązania oraz na kokardy, z których większa przypięta na wierzchu kapelusika, a mniejsza pod rondkiem nad czołem.

### Kapelusik dla dziewczynki od 1 do 2 lat.

Rycina Nr 15

Rondko kapelusika z podwójnego żółtawego indyjskiego muslinu, zmarszczone kilka razy, a każde zmarszczenie podłożone drutem, podgarbirowane koronką i pukielkami



Nr 21. Okrycie z wytłaczanego aksamitu i repsu „ottoman”. Opis pierw. str. tabl.

z wąskiej żółtawej wstążeczki, a na wierzchu naszyta dwoma rzędami ufałdowanej koronki. Główka zrobiona ze sztywnego muslinu i pokryta żółtą w różnobarwne kwiaty satinetą, z tyłu podwinięta i przymarszczona tak, aby formowała duży łepiek, zmarszczenie przykryte plisą z tejże satiny; dwie koronkowe rozetki z pukielkami z wąskiej żółtawej wstążeczki, kokarda ze wstążki 2 i pół cent. szerokiej i także końce do wiązania pod brodą, dopełniają kapelusika.

### Sukienka dla dziewczynki od 4 do 6 lat.

Rycina Nr 24.

Sukienka z szarego wełnianego materiału, z przodu i z tyłu ufałdowana i przy-

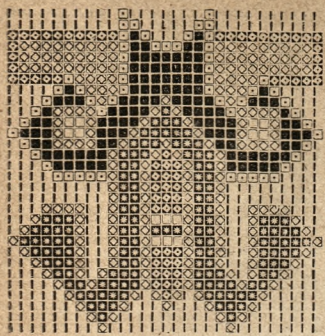


Nr 24. Sukienka dla dziewcz. od 4 do 6 lat. Plecy. (Dor. 31 w B. Nr 16).



Nr 26. Sukienka dla panienki od 11 do 13 lat. Przód. (Do ryc. 16). Krój i opis pierw. str. tabl. Nr II, fig. 10—18.





■ ciemno-pasowy, □ jasno-pasowy,  
■ niebieski, □ żółty, □ oliwkowy,  
□ biały, tło. Nr 27. Rzut na  
tło do serwetu i t. p.

### Rzut na ser- wety, kołdry lub t. p.

Rycina Nr 27 i 28.

Rzucik haf-  
tuje się na  
kanwie różno-  
barwną włó-  
czką, ścięciem  
krzyżowym  
lub gobelino-  
wym; nastę-  
pnie odcina się  
kanwę w około, zostawiając tylko na jeden ściąg, na-  
kleja się figurki na plusz, sukno, lub inny grubszy ma-  
teriał i obhaftowuje się w koło ścięciem krzyżowym,  
gobelino-  
wym, lan-  
gietkowym  
lub pla-  
skim.

### Dwie ko- ronki szy- dełkową robotą.

Rycina Nr 29  
i 30

Obie ko-  
ronki robią  
się z cien-  
kich nici  
koloru  
„écrué“;  
pierwsza  
robi się tyl-  
ko poprze-  
cznie, przy-  
czem każda  
rozetka za-  
czyna się  
osobno;  
druga po-  
przeznie  
i podłużnie.  
Brzeg obu  
koronek  
stanowiątak  
zwana dra-  
binka, czyli  
rzęd słup-  
ków, prze-  
dzielonych  
jednym lub  
dwoma po-  
wietrznymi  
oczkami.

### Podusze- czka do igiel.

Rycina Nr 31.

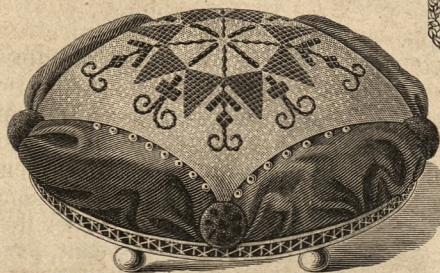
Podusze-  
czka przy-  
mocowana  
do podsta-  
wy z gru-

brana wstawionym.  
ciemno-pasowym aksa-  
mitem. Spódniczka  
przyszyta do dolnego  
brzegu stanika, przy-  
brana ciemno-pasowe-  
mi aksamitkami i za-  
kładkami; połączenie  
jej ze stanikiem przy-  
kryte przewiniętą aksa-  
mitną szarfą, która  
w tyle zakończona jest  
kokardą. Sukienka za-  
pina się z przodu na  
guziki niewidocznie;  
wykładany kołnierzyk  
i mankiety objęte są aksamitką.

bego kartonu, oszytego z obu stron perkalem, na  
czterech brązowych nóżkach. Poduszcza-  
czka po-  
kryta bufiasto pluszem miedzanego koloru, a oto-  
czona u dołu czarną aksamitką i położoną na nich  
złotą ażurową plecionką. Na środku znajduje się  
kwadrat kanwy „antique“, zahafowany podług  
ryc. 13 w Blu. Nr 16, ścięciem krzyżowym i Hol-  
beina, niebieskim, pasowym i oliwkowym jedwa-  
biem. Przyszyte kwadratu pokryte złotą ple-  
cionką; na rogach pomponiki z włóczki. Zamiast  
wzoru ryc. 13, można użyć ryc. 14 w Blu. Nr 16.

### Obiad na Niedzielę.

1. Rosół z fraczkiemi kluskami.
2. Paszteciki w konchach.
3. Sztufada lub poledwica z ma-  
karonem (kartofle na wiosnę nie  
zdrowe).
4. Kurczęta z sałatą.
5. Legumina węgierska z sera.



Nr 31. Poduszcza do igiel.

### Przepisy gospodarskie

#### Najprędszy sposób oczyszczania ka- peluszy ryżowych, a nawet niektó- rych słomkowych.

Do jednego kape-  
lusza wycisnąć na  
miseczkę dwie cy-  
tryny, na drugą zaś miseczkę wsypać trochę spro-  
szkowanej

■ ciemno-pasowy, □ jasno-pasowy,  
□ biały, ■ ciemno-niebieski, □ ja-  
sno-niebieski, □ żółty, □ oliwkowy,  
tło. Nr 28. Rzut na tło do  
serwet i t. p.

bardzo miało  
siarki. Spruc  
wszelkie ubra-  
nie z kapelu-  
sza, oczyścić  
go twardą  
szczotką z ku-  
rzu, następnie  
maczać szczo-  
teczkę w cy-  
trynie i pocie-  
rać nią kape-  
lusz raz przy-  
razie, po na-  
tarcu jednego  
miejsca cytry-  
ną, zmaczać tę samą szczoteczkę w siarce i pocierać  
kapelusz tam, gdzie tylko co był natarty cytryną,  
postępując dalej ciągle jednakowo, to jest: maczając  
szczoteczkę raz  
w cytrynie,  
a raz  
w siarce,  
póki kape-  
lusz zupeł-  
nie czysty  
nie będzie,  
a wszystek  
sok cytry-  
nowy się  
nie wypo-  
trzebuje.  
Gdy tak  
pod ręką  
usychać bę-  
dzie, wziąć  
jeszcze czy-  
stą szczo-  
tekę twardą  
i oczyścić  
z pozosta-  
łej siarki.  
Ubranie  
wyczyścić  
benziną,  
żelazkiem,  
lub jak co-  
czem wy-  
padnie in-  
a powróć  
przybrać  
kapelusz.

L. C.

#### UWAGA.

Tablica  
krojów  
odnoszą-  
ca się do  
wzorów  
w dzisiej-  
szym nu-  
merze  
poda-  
nych, do-  
łączoną  
była do  
zeszłego  
numera.



Nr 32. Czwarta część haftu na poduszkę ryc. 1.